

DOM

Do roku 1939 Wodzieczna leżała tuż przy granicy polsko-niemieckiej. Pokazują mi ciemne pasmo lasu na horyzoncie. „Ten las już był po stronie niemieckiej, a leży stąd najdalej dwa kilometry”. Kto zajął wtedy do Wodziecnej? Był to typowy kąt zabity deskami. Ale i po wojnie niewiele się zmieniło na lepsze. W sensie oddalenia od świata. Znowu znalazła się Wodzieczna na samym skraju powiatu kępińskiego, jak i województwa poznańskiego. Znowu nikt tu z zewnątrz nie zaglądał, bo daleko, bo z drogi, bo niewygodnie. I dalej ludziska rośli sobie jak dawniej zamknięci w sobie, obcym niechętni, odgradzeni wysokimi płotami od sąsiadów, płotami tymi podkreślając swój stosunek do otoczenia, do świata. W „powieści” ustaliło się przekonanie, że Wodzieczna to trudna wieś, nikt nie zdołał tam ludzi skłonić do jakiegokolwiek roboty, do postępu. I kto wie czy nie machnięto już na Wodzieczną ręką.

Teraz stoję w seradeli z tyłu Domu, oceniam fotogeniczność jego bryły, szukam najlepszego miejsca do zdjęcia, a wokół mnie gromada mężczyzn w sile wieku, ogorzałych, rozmownych. Chciałbym się dowiedzieć jak do tego doszło, że powstał ten Dom, że powstał tak szybko, w ciągu jednego roku, że mieszkańcy tak żwawo się przy jego budowie krzątali.

Mówią jeden przez drugiego, bez parlamentarnego udzielania głosu.

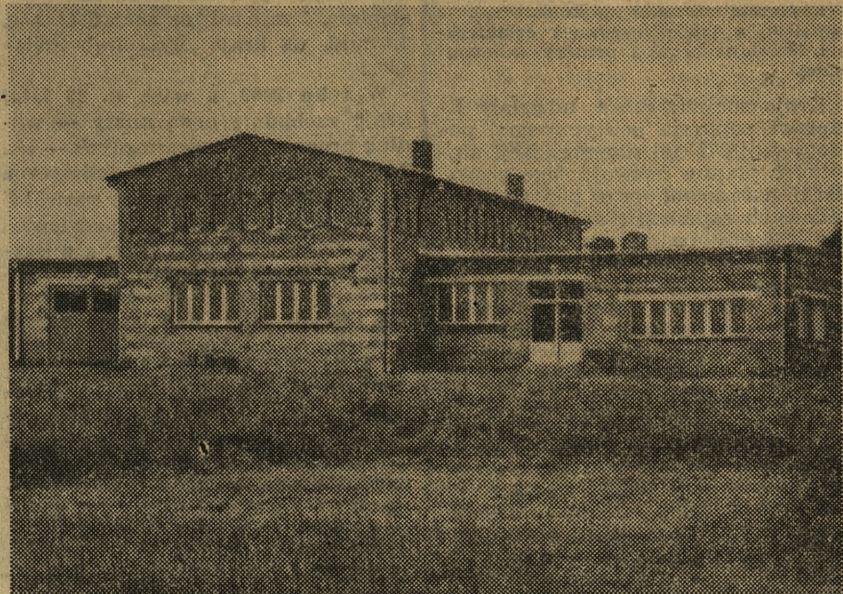
„Panie, to wszystko magister Jędrzejewski, bez niego nie byłoby tu nie zrobili. Sami to może i pięć lat byśmy budowali i kto wie czy byśmy doprowadzili do końca. Tak, tak, to Jędrzejewscy, odkąd oni tu zamieszkałi inne życie się zaczęło, to ich robota. Magister wszędzie trafił, do wszystkich władz, wszędzie uzyskał pomoc. No i nas tu tak zorganizował, że robota szła nie na dwie lecz na trzy zmiany. Tak jest, przecież już fundamenty stawialiśmy przy świetle księżycy, potem nierzaz jeszcze się to powtarzało. Inni zaś przychodzili skoro świt. On tak wszytkich poustawiał, że nikt się za bardzo nie narobił, a robota ciągle szła.”

Przed chwilą obejrzelśmy Dom wewnątrz. Szliśmy po kolei przez przysięgłą klubokawiarnię, która dzieli się na dwie salki. W jednej będzie telewizor, w drugiej bufet. Potem przeszliśmy w rodzaju holu, gdzie będzie czytelnia prasy rolniczej. Stamtąd prowadzi wejście do głównej sali widowiskowej na co najmniej dwieście osób. Uwijało się w niej kilkunastu ludzi. przybijali podłogę, budowali scenę. Pamiętam jak się oburzyli, gdy wyraziłem wątpliwość czy zdążą na 22 Lipca. „Tydzień przedtem będzie wszystko gotowe. Panie, tu jeszcze dwa dni roboty i koniec”. A ci, co przybijali, to wszystko miejscowi. „Musimy się spieszyć, żniwa czekają”. Potem przeszliśmy do lokalu dla przyszłej biblioteki. Na koniec obejrzelśmy pomieszczenie dla remizy strażackiej, które tak zbudowano, że da się je łatwo powiększyć, gdy miejscowa OSP uzyska wóz bojowy. Tak więc pomieszczeń dużo, są jeszcze w Poznanskim mieście powiatowe, które z pocałowaniem w rękę przyjąłby taki budynek na powiatowy dom kultury. A tymczasem tu w Wodziecnej...

Na razie stoję w seradeli i słucham.

„Kiedyś mówiono, że Wodzieczna to kąt deskami zabity, teraz mówią, że te deski odpadają jedna po drugiej. Budowa była koniecznością, musieliśmy jakoś dogonić to, co się dzieje na świecie. Już dziś mówią tu, że zza opłotków wyszła nasza wiara. Odkąd nastali Jędrzejewscy wszystko zaczęło się zmieniać. Nasze dzieci zaczęły chodzić do szkół średnich. A gdziekolwiek próbują, wszędzie zdają egzaminy wstępne. Jeszcze pytają się ich ze zdziwieniem z jakiej to szkoły przyszły, bo tak dobrze przygotowane. Pięć lat temu to Jędrzejewscy zainicjowali kupno pierwszego we wsi telewizora. Dzieci zarobiły na wykupkach pewną sumę, potem gospodarze dołożyli po 100 zł tych i zaczęliśmy oglądać co się w świecie dzieje. Dziś już się nikt nie dziwi, bo zwyczajny.”

Więc tak się to zaczynało. Czyżby wpływ dwojga młodych nauczycieli mógł być aż tak wielki? Nie chce się wprost wierzyć. Oni sami zresztą nie



przeceniają swej roli. „Chyba udało nam się po prostu do ludzi trafić. Ale przecież to oni wszystko zrobili, cała wieś się zjednoczyła wokół budowy Domu, wszyscy byli na zawołanie, nikt nie odmawiał, niektórzy już po trzy razy wykonali liczbę zadeklarowanych dniówek” — tak wyjaśnia mi magister Bolesław Jędrzejewski, a jego żona Maria, kierowniczka szkoły, przytakuje i jeszcze prosi, by ich roli broń Boże nie wyolbrzymiać, bo to im może w przyszłości popsuć stosunki ze wsią. Tak, tylko że to właśnie owa wieś wyprowadzi ich zasnętych pod niebiosa.

Stoimy jeszcze na zapleczu Domu, gdzie ma powstać boisko sportowe, aby cała działalność skupiała się w jednym miejscu. Pytam się kto tu najbardziej się wyróżnił przy budowie. Znowu pada nazwisko „Jędrzejewski magister”. Wszyscy je powtarzają. Pytam o innych. „Cała wieś” odpowiadają. Nalegam dalej. Wiece zaczynają. Parzonka Henryk, Łakomy Władysław, Rabiega Alojzy, Ziobiński Piotr, Gryman Ignacy, Czarnecki Piotr, Gnacy Bogdan, Polowy Edward, Tomalik Franciszek, Gruska Stefan, Czekala Bolesław, Grzelak Edmund, Jokiel Władysław, Kawula Henryk, Kosmala Antoni, Stężala Jan, Stupianek Franciszek, Antoniak Józef. Macham ręką, że dość, bo wymienię w końcu wszystkich mieszkańców. „Nie, powiadają, to tylko aktywni. ci co najwięcej działali. I niech pan napisze, że myśmy zaczęli w ostatnim roku pierwszego

Tysiąclecia Polski a kończymy w pierwszym roku drugiego Tysiąclecia.”

Tu pora wyjaśnić, że Wiejski Dom Kultury z Klubem Młodego Rolnika jest owocem zobowiązań dla uczczenia Tysiąclecia podejmowanych masowo na wsi wielkopolskiej wiosną ubiegłego roku. Wtedy to postanowiono pomysł sprzed wielu lat wreszcie zrealizować, powołano społeczny komitet budowy, zadeklarowano składki pieniężne oraz robocizne. Za deklarowano 325 tys. zł. Dziś czyn mieszkańców przekracza już wartość 375 tys. zł. Doszła oczywiście do tacy państwowa. Obiekt ma wartość kosztorysową 1 300 tys. zł. Zamknięto się jednak w kwocie 750 tys. Dzięki temu, że budowano sposobem gospodarczym, tylko niektóre roboty jak stropy, dachy zlecono przedsiębiorstwu. Oczywiście był nadzór budowlany. Pomogła dodatkowo miejscowa OSP, Kółko Rolnicze, PGR Teklin. Organizacja partyjna PZPR oraz Koło ZSL przez rok żyły tą sprawą, obie organizacje odbywały wspólne posiedzenia radząc jak dalej popychać robotę. Mgr Jędrzejewski likwidował przeszkody biurokratyczne na różnych szczeblach, wyjednywał pomoc władz, starał się o materiały. Władze doceniły czyn mieszkańców. Oglądałem w mieszkaniu Jędrzejewskich Odznakę Tysiąclecia nadaną przez Ogólnopolski Komitet FJN z legitymacją podpisaną

Dokończenie na str. 5

Barbara Zeter

W każdej godzinie

S tarsze pokolenie przywykło z okazji Lipcowego Święta mierzyć postęp w rozwoju kraju miarą własnych przeżyć, obserwacji i doświadczeń nagromadzonych przed i w czasie ogłoszenia Manifestu 22 Lipca oraz w ciągu dwudziestu paru lat, które upłynęły od tamtego przełomowego momentu. Pokolenie to rzadko sobie uświadamia, że wprawdzie samo czuje się młode, ale „szybko się starzeją nasze dzieci”, że już cała połowa narodu, w tym także panowie pod wąsem i matki dzieciom, ma inną skalę ocen, nie podbudowaną osobistymi doświadczeniami z tamtych czasów. Kiedy z wojennej pozoży wylądował się kształt nowej, Ludowej Polski, ich po prostu jeszcze na świecie nie było.

Połowa Polaków zaczęła świadome życie w kraju już na nowo uporządkowanym, rozwijającym się, o określonej strukturze i kierunku rozwoju, o określonych orientacji i miejscu na świecie. Nic więc dziwnego, że ta młodsza połowa stan dzisiejszy porównuje z tym, co pierwszym przeżytkiem świadomości objęła. O tym, co było wcześniej, dowiaduje się w szkole i z rodzinnych przekazów. Dla tej połowy to już historia. Jeszcze świeża, ciepła żywym świadectwem uczestników i naocznych świadków, lecz przecież historia. Nadaje to spojrzeniu na tamte dzieje pewien dystans, przysiąga emocje.

Alle podzielić ludność według wieku na dwie połowy można tylko w statystycznych tabelach. W rzeczywistości wszyscy żyjemy razem, wzajemnie wpływamy na swój sposób myślenia i działania. Czy kto chce czy nie, sprawdzianem naszego „dziś” staje się porównanie z naszym niezbyt odległym

„wczoraj”, natomiast to, że niedawne „wczoraj” zawdzięczało swoje istnienie fundamentalnym założeniom zawartym w Lipcowym Manifestie — to z czasem przekształciło się w niewzruszony aksjomat, w pewnik w powszechnym odczuciu tak oczywisty, że udowodnienia już nie potrzebuje.

Potwierdzenia słusznosci naszego działania jak dawniej tak i teraz szukamy spoglądając na przebytą drogę. Teraz jednak na ogół nie sięgamy zbyt daleko wstecz. Aktualnego stanu naszej gospodarki, warunków społecznych, materialnych, zdrowotnych czy kulturalnych ludności nie zestawiamy już z sytuacją sprzed lat czterdziestu czy trzydziestu. Porównanie z poprzednią pięcioletką czy dwiema daje nam nie tylko pełną satysfakcję z dokonanego dzieła i przekonanie, że idziemy we właściwym kierunku. Wskazuje też konkretne błędy i zaniedbania, często na ich źródła. Pomaga w ten sposób doskonalić działanie, rozwijać wszystkie dziedziny naszego życia — socjalistyczny system rządzenia, gospodarkę, stosunki społeczne, codzienny byt... Może liczby i procentowe wskaźniki nie strzelają tak wysoko w górę jak te z dłuższych okresów porównawczych ale uświadomienie już jest czytać i rozumieć ich uświadomienie.

Kokolwiek by się mówiło i pisało o naszych sarmackich cechach, nie ulega wątpliwości, że zaczynamy coraz powszechniej przedkładać rzeczowy stosunek do spraw nad odczucia emocjonalne. Czyżby to był wpływ tej młodszej połowy narodu? Może tak, może nie. Natomiast na pewno nie jest to stosunek niewłaściwy. Umożliwia bowiem obiektywną ocenę nie tylko wyników bieżącej działalności, ale i — gdy nadej-

By pamięć o nich nie zginęła

W yobraźnia poety potrafi ożywić pomniki, każe im ze sobą rozmawiać w książkowej poświęcie, albo czarowaną godziną opuszczać cokoły. Ale nie trzeba poetyckich metafor, aby w pełnym świetle lipcowego południa stwierdzić po prostu, że pomniki żyją wśród nas. Mamy do nich określony stosunek uczuciowy. Jedne lubimy oglądać choćby co dzień, inne wzruszają nas lub stają się trwałym elementem miejskiego pejzażu, utrwalonym w świadomości tak wyraziście, jak na pocztówce. To nie martwe, obojętne i zimne posągi — to część naszej historii, świadomości, kultury... Pomnij, znaczący pamiętaj; miej na uwadze, w pamięci!...

Ponad ból człowieczy

Wśród pomników, wzniesionych na polskiej ziemi w ciągu ostatnich dwudziestu trzech lat, najliczniejsze poświęcono pamięci tych, którzy nie doczekali dnia wolności. Jak kraj szeroki i długi, w miasteczkach i we wsiach, na rynkach lub obok

miejsc straceń, stoja obeliski, mauzolea, albo skromne kamienie z tablicami. Niektóre zbudowano ku czci pomordowanych przez hitlerowców mieszkańców danej miejscowości, inne okleślały ścieżkę; w hołdzie po mordowanym nauce, czcicielom, kolejarzom. We Wrocławiu stanął pomnik ku czci pomordowanych uczonych polskich. Liczne pomniki wzniesiono ku czci poległych w walce. Nie wszystkie są tak słynne, jak pomnik Bohaterów Westerplatte, nie wszystkie miejsca kaźni otrzymały tak godne upamiętnienie, jak poznańska Cytadela, lecz wszędzie ich wzniesieniu towarzyszyła taka sama podniosła intencja. Pamiętaliśmy także o poległych na naszej ziemi radzieckich towarzyszach broni. Postawione im pomniki, strzegą tysięcy mogił tych, którzy polegli w walkach o wyzwolenie naszego kraju.

Sława męstwu!

Duma narodowa i patriotyzm nakazywały upamiętnienie pomnikiem wielkiego zwycięstwa pod Grunwaldem. Na Polach Grunwaldzkich stanął najokazalszy pomnik, mówiący o tym wydarzeniu, ale nie jedyny. W Wolborzu (pow. Piotrków) postawiono pomnik w 550-lecie koncentracji wojsk Jagiełły, a sam król doczekał się pomnika w powiecie przeworskim. W miejscowości Siechacz (pow. Elbląg) w 1961 r. odsłonięto pomnik z okazji 500-lecia bitwy morskiej, którą stoczyła zjednoczona flota gdańska i elbląska z flotą krzyżacką. Pomnika doczekały się też historyczne Płocce, gdzie Władysław Łokietek dobrze dał się we znaki zaborczemu Zakonowi.

Kolejna seria — jeśli tak można określić intencję — upamiętnia niepodległościowe czyny zbrojne Polaków. Wzniesiliśmy w stulecie Powstania Styczniowego pomnik w Białobrzegach. Monumentalnego pomnika projektu Xawerego Dunikowskiego doczekali się powstańcy śląscy na Górze Św. Anny. Obecnie montuje się pomnik, również im poświęcony, który, jako dar Warszawy, stanie w Katowicach. Męstwo powstańców wielkopolskich oddają część pomniki w Poznaniu i Kcyni...

Jest jeszcze warszawska Nike, potężny symbol losu Polaków, bezimiennych bohaterów, którzy w różnych okresach walczyli, ginęli i zwyciężali, aby „miasto nieujarzmione” Warszawa, po dniach krwi i chwały mogło żyć życiem wielkiej, europejskiej metropolii.

Mickiewicz, Kościuszko i inni

Kilka dziesiątków pomników, którymi od chwili wyzwolenia wzbogacił miasto i osiedla, wiąże nas

bezpośrednio z wybitnymi postaciami przywódców narodu i twórców kultury. Szczególnym pietwem cieszą się Kościuszko i Mickiewicz. W miastach, w których ich pomniki niszczili hitlerowcy, przystąpiono do rekonstrukcji. Pomnik Kościuszki dla Krakowa ofiarowali mieszkańcy Drezna. W miejscowości Uchanka (pow. Hrubieszów) zrekonstruowano... Kopiec Kościuski, pozostawiając tym samym Kraków monopolu na te formy upamiętnienia. Mickiewicz stanął w Poznaniu, w Gdańsku, a w 1957 r. odsłonięto jego pomnik w Gorzowie i w 1958 r. w Szczecinie. Niemal równą cześć wyrażoną pomnikami, cieszą się: Chopin, Żeromski i Sienkiewicz.

Dwóch pomników doczekała się Maria Konopnicka, w Suwałkach i w Warszawie. Ten ostatni ufundowały dzieci z całej Polski. W Łodzi i Raciborzu stanął Moniuszko. Nie zapomnieliśmy o wielkich działaczach społecznych i politycznych — tych, co z bronią w ręku lub płomiennym słowem walczyli o równość i sprawiedliwość. Patrząc na nas z cokołów: generał Świerczewski, Waryński, Dzierżyński, Marchlewski, Nowotko i Marcin Kasprzak.

Niektóre pomniki wyrastają niemal z kołorytu lokalnego. Postacie umieszczone dziś na cokołach, ongiś żyły tu i działały... Białystok wystawił pomnik doktorowi Zamenhofowi, twórcy języka esperanto. W Szamotułach uwieczniono nadwornego muzyka króla Zygmunta Augusta, słynnego Wacława. W Januszkowie — renesansowego poetę — Klemensa Janickiego. Łódź ma już: Tuwima, Kościuszkę — Józefa Wybickiego, twórcę naszego hymnu państwowego, Wadowice — Emila Zagadłowicza, Hrubieszów — Bolesława Prusa.

Zasłużyli sobie na pomniki polscy patrioci, prześladowani przez pruskich hakatystów: Michał Kajka — poeta mazurski, Florian Ceynowa, lekarz i badacz Kaszubszczyzny, Tadeusz Odrowski, komisarz Plebiscytów w Kwiślinku.

Na pomnikowych cokołach postawiliśmy także czolowych luminarzy nauki polskiej: Kopernika, Marię Curie-Skłodowską i reprezentanta zeszłego wieku — Jana Śniadeckiego.

Naród — sobie

Jest to zwrot trochę nie dzisiejszy, ale i pomniki, jako wyraz hołdu i dowodu pamięci, nie są przecież nowe. Tym bardziej można powiedzieć, że wymienione tu i nie wymienione pomniki, naród polski sobie postawił. Nie tylko w przezniesi. Decyzję o ich budowie podejmowało społeczeństwo. Ono też powoływało komitety budowy. Setki pomników powstały systemem gospodarczym. Nike, czy pomnik Konopnickiej w Warszawie, zbudowano ze składek, płynących z całej Polski.

Może nie wszystkie obiekty wzniesione w ostatnich dwudziestu paru latach, są dziełami wielkiej sztuki, czasem to skromne obeliski, popiersia, czasem głązy z tablicą, jest wśród nich nawet autentyczny czołg, ustawiony w Gdańsku, po przebyciu szlaku bojowego od Lenino, ale wszystkie budowaliśmy z potrzeby serca. Dlatego pomniki polskie tak często zdobimy wienkami i kwiatami, dlatego są tak bardzo nasze.

Irena Solińska

Pomniki polskie

EGIPT

w 15-lecie rewolucji

Dwudziestego trzeciego lipca przypada piętnasta rocznica rewolucji egipskiej. W lipcu 1952 roku organizacja Wolnych Oficerów — grupująca patriotyczne i postępowe elementy armii egipskiej, odsunęła od władzy, w drodze zamachu stanu, króla Faruka i związane z dworem siły feudalnej reakcji. Od tego momentu Egipt kroczy drogą postępu, osiąganego w skomplikowanych warunkach międzynarodowych i wewnętrznych.

Egipt przedrewolucyjny był zaco-fanym, feudalnym krajem, podporządkowanym interesom monopolu operujących na Bliskim Wschodzie. Rewolucja egipska dokonała zasadniczego wyłomu na tym froncie. Egipt dzisiejszy jest krajem postępowym, antyimperialistycznym, realizującym narodowe cele i interesy. Cieszy się on ogromnym prestiżem w świecie arabskim, a prezydent Gamal Abd el-Naser, jest przywódcą arabskim o niekwestionowanym autorytecie.

W porewolucyjnym Egipcie uchwalono republikańską konstytucję, powołano do życia masową organizację polityczną — Socjalistyczny Związek Arabski, przeprowadzono reformę rolną, nacjonalizację przemysłu, banków, znacjonalizowano Kanał Sueski, przystąpiono do szyb-

kiego i planowanego rozwoju gospodarki. W ciągu piętnastu lat po rewolucji dokonały się w Egipcie ogromne przemiany w dziedzinie szkolnictwa i oświaty, równouprawnienia. Ograniczono wpływy i dochody najbogatszych warstw ludności. Na zaco-fanej wsi egipskiej dokonuje się rewolucja antyfeudalna, wyzwala ją rewolucyjne nastroje uciskanej przez tysiąclecia ludności wiejskiej. Wszystkie te przemiany, dokonane na przestrzeni krótkiego okresu czasu, w tak zaco-fanym i przez wiele lat podporządkowanym obcym potęgom imperialistycznym kraju, równoznaczne są z dokonaniem wielkiej rewolucji, którą ludzie pracy Egiptu uważają za swą zdobycz i są zdecydowani jej bronić.

Wszystkie te przemiany zostały dokonane w warunkach ostrej walki z imperializmem. Kierownice koła świata kapitalistycznego niejednokrotnie usiłowały wykorzystać każdą, nadarzającą się okazję do interwencji w sprawę tego kraju, w celu obalenia jego postępowych rządów i spowodowania zmian w jego polityce. Mocarstwa zachodnie odmówiły dostarczania Egipciowi broni, kiedy kraj ten — zgodnie ze swą polityką zagraniczną, przewidującą neutralizm, antykolonializm, jedność świata arabskiego — opowiedział się przeciwko paktowi bagdadzkiemu. Z pomocą Egipciowi pospieszyła wtedy Czechosłowacja, Stany Zjednoczone zdecydowały nie udzielić pomocy Egipciowi w budowie Tamy Assuan-skiej, kluczowej inwestycji współczes-

go Egiptu, która umożliwi powiększenie arealu ziemi uprawnej w tym, odczuwającym głód ziemi kraju, o jedną trzecią, a w cyfrach bezwzględnych o 800.000 ha i poważnie zwiększy ilość energii elektrycznej, potrzebnej szybko rozwijającemu się przemysłowi narodowemu. W tej sytuacji pomocy Egipciowi udzielił Związek Radziecki. W ubiegłym roku Stany Zjednoczone, dążąc do wywarcia presji ekonomicznej na Egipt, jednostronnie zerwały umowy i nieoczekiwanie zaprzęstały dostaw zbroi. Prezydent Naser słusznie określił tę decyzję USA, jako akt wojny głodowej przeciwko narodowi egipskiemu. Niemiecka Republika Federalna usiłowała postawić Egipt i inne kraje arabskie przed faktem dokonanym i nawiązała stosunki dyplomatyczne z Izraelem, a także rozpoczęła dostarczanie Izraelowi broni i pomocy ekonomicznej.

Kraje socjalistyczne udzielały Egipciowi poparcia politycznego i pomocy materialnej dla realizacji ambitnych planów rozwoju jego gospodarki narodowej, oraz poparcia narodowych aspiracji i dążeń jego narodu. Kiedy po nacjonalizacji Kanału Sueskiego w 1956 r. rozpoczęła się trójstronna agresja imperialistyczna przeciwko Egipciowi, bezkompromisowa postawa Związku Radzieckiego i innych krajów socjalistycznych i ofiarna walka narodu Egiptu, doprowadziły do jej załamania. Kraje socjalistyczne wystąpiły po stronie republikańskiego Egiptu, przekonane o konieczności obrony jego zagrożonej suwerenności. Wierne tym zasadom kraje wspólnoty socjalistycznej, również i obecnie udzielają pełnego poparcia i pomocy Egipciowi i innym, zaatakowanym przez Izrael państwom arabskim.

Piętnastoletnie rewolucji obchodzi Egipt w warunkach wojennych. Nie jest on dziś osamotniony. W ciągu minionych lat z walki antyimperialistycznych, postępowych sił arabskich, wyłonili się inne kraje arabskie o podobnej orientacji politycznej. Syria, Algierja, Irak — stanowią front postępowych państw arabskich. Jedność świata arabskiego nie została rozbita przez imperialistyczny spisek. Agresja izraelska, jakkolwiek stanowiła dotkliwy cios dla napadniętych krajów, nie doprowadziła, co było jej głównym celem, do upadku postępowych rządów Egiptu i Syrii. Imperializm amerykański i brytyjski wyszedł z tej nowej awantury skompromitowany, jego akcje w świecie arabskim spadły niemal do zera. Świat arabski jeszcze bardziej zbliżył się do wspólnoty socjalistycznej.

Agresja Izraela na Egipt nie zachwiała jego ustrojem społecznym. W życiu wewnętrznym Egiptu pojawiają się nowe elementy, wynikające z przemian, już dokonanych: radykalizacja mas, przebudowa armii, zakładająca oddalenie tej części kadry oficerskiej, która nie zaakceptowała w pełni dokonanych przemian socjalistycznych i wyrażała nieudolność, zapowiedziana przebudowa Arabskiego Związku Socjalistycznego, aby decyzje kierownictwa politycznego były lepiej realizowane przez masy. Utrwalenie zdobyczy mas, oparcie się na ich siłę i aktywność, kontynuowanie przemian w duchu postępu i socjalizmu — oto czynniki rozwoju rewolucji egipskiej, wynikające tak z jej istoty, jak i potrzeb chwili obecnej.



Na zdjęciu: poszukiwanie ropy naftowej.

Fot. CAF

W trudnych skomplikowanych czasach powojennych, wiele zmieniło się w otaczającym nas świecie. Ale jedno nie zmieniło się od momentu, kiedy zaczęła się epoka atomowa: problem wojny i pokoju. Tyle że ukazał się w nowym zupełnie świetle, i wielkość rządów krajów wielkich, średnich czy małych zrozumiała, że szeroki konflikt światowy przy zastanowieniu broni masowej zagłady doprowadziłby ludność do ruiny. Stąd prowadziła prosta droga do powszechnego niemal dzisiaj uznania słuszności idei pokojowego współistnienia.

Ale o ile kraje socjalistyczne od dawna głosiły tę leninowską zasadę ze względu na ideologiczne i humanistyczne, o tyle mocarstwa zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone zaakceptowały ją z konieczności, nie zaś z dobrej woli. Stąd też raz po raz byliśmy i jesteśmy świadkami takich czy innych konfliktów lokalnych, organizowanych bezpośrednio przez Stany Zjednoczone, jak na przykład w Wietnamie, czy też popieranych przez nie, jak na przykład na Bliskim Wschodzie. Mechanizm tego rodzaju konfliktów, a zwłaszcza „eskalacji” wietnamskiej pokazuje, że chociaż dawno już przebrzmiały, jakby się zdawać mogło, koncepcje Dullesa, który nawoływał otwarcie do „balansowania na krawędzi wojny” — to przecież Stany Zjednoczone w czasach Johnsona czynią to właśnie, co zalecał Dulles. Podejmują „kalkulowane ry-

zyko zapominając o tym, że określenie to jest sprzeczne samo w sobie, ryzyka bowiem obliczyć nie można. Stanowisko Polski, kraju, który nie jest przecież mocarstwem, jej postawa wobec problemów, nurtujących dzisiejszy świat, określona jest dwoma względami: interesem narodu — i powszechnym interesem rozwoju i postępu. W interesie narodu leży zachowanie pokoju i utrwalenie bezpieczeństwa. W interesie postępu na światową skalę leży w gruncie rzeczy to samo: pokój i bezpieczeństwo. Ta zgodność jest jedną z podstawowych cech polityki zagranicznej naszego kraju, jego stanowiska wobec konkretnych problemów, jakie pojawiają się na międzynarodowej arenie i wobec ogólnych zasad, jakimi powinny kierować się narody.

Widać to na przykładzie Wietnamu, widać to na przykładzie Bliskiego Wschodu. Polska, stojąc po stronie walczących o wolność, po stronie napadniętych, czyni to nie tylko z uwagi na bliskie i serdeczne więzy, jakie łączą ją z bratnią Demokratyczną Republiką Wietnamu, czy też na więzy przyjaźni łączące ją z postępowymi rządami krajów arabskich. Także dlatego, że ogólnoludzka sprawiedliwość wymaga udzielania pomocy ofiarom napadów i potępienia napastników. Żądanie opuszczenia ziemi wietnamskiej przez interwencyjne armie

USA — czy też żądanie wycofania wojsk Izraela z okupowanych terytoriów arabskich — to dwie ilustracje podstawowej zasady polskiej polityki, odrzucającej koncepcje rozwiązywania siłą spornych problemów i sprzeciwiającej się nagradzaniu agresji zdobyciami terytorialnymi, zagarniętymi przemocą.

Niezależnie od moralnej słuszności takiej polityki istnieją w naszym przypadku dodatkowe, wzmacniające poparcie dla niej czynniki emocjonalne. Przez wieki całe ziemie polskie nie były bezpieczne od napadów — począwszy od Raubritterów poprzez Krzyżaków, „Starego Fryca”, Bismarcka, kajzerowskie Niemcy, aż po Hitlera. Co więcej — chociaż układ sił na świecie zmienił się radykalnie, chociaż Polska, związana sojuszem z pierwszym mocarstwem socjalistycznym — Związkiem Radzieckim, z pozostałymi sąsiadami — Niemiecką Republiką Demokratyczną i Czechosłowacją, a także z wszystkimi członkami Układu Warszawskiego — nie obawia się już i nie potrzebuje się już obawiać powtórzenia tragicznych wydarzeń z września 1939 roku — to przecież zdaje sobie sprawę, że na świecie istnieją siły, które nie chcą się pogodzić z granicami powojennego świata.

Siły takie istnieją również w NRF! Nie mogą zmienić granic, ale mogą

Cena nowoczesności

Przed dwoma laty, żyło nas na kuli ziemskiej ok. 3,2 miliarda z czego 770 mln. przypadało na kraje zachodnie, 1 miliard na socjalistyczne, 1,4 mld. na kraje „Trzeciego Świata”...

W roku 2000, a więc za 33 lata, kraje zachodnie będą miały — według prognoz demograficznych — ok. 2 mld. ludności, kraje socjalistyczne — 2,4 mld., tyleż — kraje rozwijające. W sumie, można się spodziewać, że w ciągu tych 33 lat liczba mieszkańców Ziemi się podwoi.

Mieli więc nad czym radzić architekci z kilkudziesięciu krajów, którzy zebrał się w początkach lipca w Prawdzie na swoim IX Międzynarodowym Kongresie. Dla architektów oznacza to bowiem konieczność wybudowania miliarda nowych mieszkań — tyle, ile wybudowano w ciągu 5000 lat istnienia cywilizacji.

Kongres praski obradował pod hasłem: „Człowiek i jego środowisko”, ale na czoło omawianych zagadnień wysuwało się oddziaływanie na nasze środowisko rozbudowywanego się przemysłu. Stało się też nader istotne zagadnienie przeciwdziałania ujemnym skutkom nagromadzenia ogromnych mas ludzi, w miastach — gigantach.

Rozrost tych miast mogą zilustrować te oto liczby: w 1800 roku załedwie 2,4 proc. ludności żyło w miastach mających powyżej 20 tys. mieszkańców — miast liczących więcej niż 100 tys. ludności było około 50, nie było na całym świecie ani jednego miasta — milionera...

Dziś na kuli ziemskiej, istnieje 108 miast liczących powyżej miliona mieszkańców — 65 z nich posiada powyżej miliona, 9 — powyżej trzech mln., 4 — powyżej czterech, 4 — powyżej sześciu mln., a około 20 miast — to urbanistyczne kolosy, liczące 7 i więcej mln. mieszkańców.

To Nowy Jork, Tokio, Londyn i inne giganty urbanistyczne, w których nagromadzenie ludności łączy się z chaotyczną zabudową z zanieczyszczeniem atmosfery, z hałasem, korkami komunikacyjnymi itp. Już dziś można stwierdzić, że wraz z zagęszczeniem miast narasta proces pogarszania się warunków ludzkiego bytowania.

Urbanizowane obszary gwałtownie się rozrastają, przy czym powstają konflikty między tym wzrostem a sadami nowoczesnej urbanistyki i

potrzebami życiowymi mieszkańców. Miasta wchłaniają tereny zieleni pod miejskiej czyli własne „płuca”, niszczą tereny upraw rolnych; przemysłowe zakłady swoimi dymami i wyciekami a samochody — spalaniem, zatrują powietrze miejskie; zgrzyt pojazdów mechanicznych przekracza dopuszczalną granicę decybeli; sznury pojazdów korkujące ulice Paryża czy Londynu, każą poważnie zastanawiać się nad komunikacyjnymi perspektywami tych miast.

Mamy przed oczyma pokazywać zaś doświadczenia, które stały się udziałem wielkich miast w innych krajach. Powinni z nich korzystać nasi urbanisci i architekci, przy opracowywaniu planów rozbudowy miast w Polsce...

W naszym kraju — w jego dzisiejszych granicach przed II wojną światową tylko sześć miast liczyło ponad 100 tys. mieszkańców. Obecnie mamy 23 takie miasta. Przed wojną co trzeci mieszkaniec Polski żył w mieście — a parę miesięcy temu zrównała się u nas liczbowo ludność miast i wsi. Demografowie obliczają, że w miarę postępu urbanizacji, za kilkanaście lat tylko co trzeci „statystyczny rodak” będzie

żyć poza rogatkami miejskimi. Chodzi o to, by korzystając z doświadczeń innych krajów, nie ponosić zbyt wysokich kosztów, które one płać za nowoczesność. Można więc uniknąć — niestety wciąż jeszcze popełnianych — błędów w lokalizacji zakładów przemysłowych, przy której względy ekonomiczne górują nad wysuwanymi przez życie. Widać się oto nowe zakłady produkcyjne do zagęszczonych ponad miarę przemysłowych centrów — z pominięciem „białych pól”, wyciekających na przemysłową aktywizację. W ten sposób zagęszcza się Śląsk, marząc obecnie o deglomeracji...

W skali całego kraju rozbudowują się miasta, na których rozwój rzutują inwestowane gałęzie przemysłu: płocka petrochemia, tarnobrzewska siarka, koniński czy bełchatowski „brunatniak”, lubińska miedź. Inwestycje przemysłowe zmieniają układ stosunków ludzkich w środowisku miejskim. Przeobraża się społeczność cichych do niedawna miasteczek, w których ludzie żyli od setek lat, stosując się do ustalonego z dawna porządku.

Na oblicze tych miast składa się ich wielkość, położenie geograficzne, historyczne tradycje — wszystko to nadawało im specyficzne cechy. W tych warunkach nieuniknione były konflikty między tradycyjnymi cechami miasta z czasów poprzedzających inwestycje przemysłowe — i z okresu nowego, w którym miasto musiało się podporządkować dyktantom rozwijającego się przemysłu. Tworzyły się nowe wartości i nowe dyktandy społeczne, nowe zainteresowania i dążenia mieszkańców. Zaczynały przewodzić nowe grupy zawodowe, np. inteligencja techniczna.

Przeobrażanie się społeczeństwa miejskiego i udział w tym procesie jego własnej inicjatywy, wchodzi do „czołówek” zainteresowań Komitetu Badań Rejonów Uprzemysławianych PAN.

Urbanizacja kraju, wraz z nieodłącznymi przemianami w życiu ludności, zainteresowała socjologów. Rozrost organizmów miejskich powoduje migrację ludności ze wsi i z małych osiedli — ludności bynajmniej nie jednolitej. Przybywają do miast młodzi, by się uczyć i pozostają w nich, zdobywszy zawód. Napiływają niewykwalifikowani robotnicy (zwłaszcza budowlani) — i w mieście stają się fachowcami. Osiedlają się ludzie samotni — i obarczeni rodzinami. A u każdego z nich w odmiennej sposób przebiega proces przystosowywania się do nowych warunków życiowych.

Jakie procesy zachodzą w życiu miast — i jak nimi kierować? Jaka właściwie powinna być ta społeczność — zwarta, zacieśniająca kontakty międzyludzkie — czy też składająca się z grup cementowanych więziami zawodową? Nie jest łatwo odpowiedzieć na te pytania — nawet socjologom, badającym tę stronę naszego miejskiego życia...

W. K.

POLSKIE RACJE

Fot. — H. Kamza

DOTRZYMALI SŁOWA

Teraz na tablicy informacyjnej widocznej dla wszystkich wprowadzona będzie zmiana tekstu: „Uwaga, załoga! 72 dni do uruchomienia II zespołu”. Ludzie z Pątnowa znów będą liczyć od początku – dni dzielące ich od 7 listo-

W Pątnowie twierdzili, że kucharze też nie zawiodą.

Niełatwe bazy początki

Kierownika nie było na miejscu. Jego zastępca przerwał rozmowę z gospodarzem, który akurat przyszedł zamówić maszynę do żniw. Na biurku leżał zeszyt, do którego wpisano zamówienia rolników na sprzęt. Codziennie trzeba sporządzać harmonogram pracy poszczególnych ciągników i maszyn. Zamówień jest dużo, sprzętu także. Bez dokładnego planu można by coś przeczołgać, a te-

Droga za „koniec świata“

Na szczęście nie obca jest mi owa wiedźma z karelskiego świata baśni. Przypomina ona rodzona, tyle że bardziej jeszcze złośliwa, siostrzyczka naszego, spopularyzowanego przez Sieroszewskiego, Wiatru Północnego. Wiem więc, że uosabiając antyludzką nieprzychylność sił przyrody koła podbiegunowego, mieszkając w smutnej tundrze pod zimnym Morzem Białym, stamtąd trzaskającymi mrozami i lodowatymi wichurami, do

Relacja z radzieckiej Arktyki

Nie od razu wszakże kolejowa linia murmańska mogła służyć zwycięstwu nowego.

Wylapuję mimo zamazania szybkością znajome kształty wrocławskich wagonów samowyladownych...

Dokończenie na str. 4

GŁOS TYGODNIA 3
Nr 299 22/23 VII 1967

Ta zasciankowość członków starego zarządu była w ich rozumieniu usprawiedliwiona. Miał on przede wszystkim reprezentować interesy chłopów-producentów. To z ich pieniędzy odpisywanych na Fundusz Rozwoju Rolnictwa zakupywano sprzęt dla Kółka Rolniczego w Pniewach. Miało ono 6 traktorów, z tego cztery „na chodzie” i dwóch traktorzystów. Czy można było kupić więcej traktorów i maszyn towarzyszących? Można, tylko kto by chciał się tym wszystkim społecznie zajmować, reperować, pilnować przed dewastacją, przyjmować zgłoszenia, godzić spory między gospodarzami? To przecież majątek, który musi być zabezpieczony, za niego się materialnie odpowiada. Kto to miał robić i jak długo? Rok, dwa... A jak traktorów przybędzie, czy dyspozytor bez odpowiedniego wykształcenia da sobie z tym radę?

Takie to wątpliwości nurtowały bardziej dalekowzrocznych człon-

Nielatwe bazy początki

Dokończenie ze str. 3

zakupić sprzęt do Bazy, musiał uciekać się do podstępów. Urzędujący prezes nie chciał niczego sygnować podpisem. Miarę przebrało kupno przez kierownika Rabskiego biurek do pokoiów biurowych. O mały włos za to nie wyleciał ze stanowiska. Jakoś starym zarządowi nie mogło się w głowie pomieścić, że trzy biurka przy milionowym majątku Bazy to naprawdę konieczny drobiazg. Kierownik słusznie rozumował, że te trzy skromne, ale gustownie urządzone pokoiki będą dobrą wizytówką Bazy, że porządek na placu, kwiatki przed wejściem, urządzenia sanitarne dla traktorystów (czekają na doprowadzenie wody), że studnia (w budowie) — to wszystko stanowi o kulturze miejsca pracy.

— Nie mogłem patrzeć jak traktorzysta myje ręce w kałuży — zwierzał się Rabski — dlatego kopiliśmy tę studnię. Oczywiście, gospodarskim sposobem. Założyliśmy chodniki. We własnym zakresie tynkujemy, a przedtem przerobiliśmy nieco wnętrze głównego budynku Bazy. Zwozimy materiał budowlany, aby postawić jeszcze jedną wysoką szopę na maszyny.

Największe trudności udało się przezwyciężyć, pokonać opory w psychice rolników. Obecnie kierownictwo MBM cieszy się poparciem Rady Użytkowników. Układa się też dobrze współpraca z nowym zarządem pniewskiego Kółka Rolniczego, którego prezesem został człowiek młody, energiczny — inż. Marek Raczkowski, rolnik — ogrodnik z wykształcenia i zawodu.

— Mamy tyle sprzętu, że można obsłużyć wszystkich. Na około 3200 ha w rejonie działania Bazy jest 27 ciągników (z tego 11 kupionych ostatnio), 21 snopowiązałek, 10 młocarni, kombajn zbożowy, kolumna parnikowa, 14 kopaczek do ziemniaków, sadzarki i sprzęt do ochrony roślin. W okresie mniejszego nasilenia prac w rolnictwie nasze traktory pracują dla miejscowej GS. Pomagamy w transporcie towarów dla rolnictwa.

— Majątek Bazy łącznie z budynkami sięga blisko 8 mln. zł — wyliczał Rabski. Wprowadzamy nowe usługi, jak omłoty i sprzęt kombajnem, jak mechaniczne sadzenie ziemniaków.

— Nasz ostatni sukces to przystąpienie do Bazy Kółka Rolniczego z Podpniewek, gdzie było najwięcej oporów. Tamtejsze kółko miało 3 traktory i jednego starego traktorystę. Mimo ciągników prywat-

nych, nie mogło podołać z obsługą dużego obszaru upraw.

— Dawałem im — mówi kierownik — najlepsze traktory i traktorystów, gdy zamawiali maszyny u nas. Sami nie mogli dać rady ze swoim sprzętem, szczególnie z ochroną roślin. A Baza nasza ma 6 traktorowych opryskiwaczy i dwa ciągniki dodatkowe do rozwożenia wody. Jak się tamtejsi rolnicy przekonali, że konną „Olzą” niewiele da się zrobić, zamawiali opryskiwacze w Bazie.

Stanisław Firlej — prezes KR z Podpniewek — mówił chętnie o tarapatach, jakie były z przystąpieniem do MBM. Był zwolennikiem Bazy, choć sam pełnił obowiązki kółkowego dyspozytora.

— Dlatego właśnie chciałem się wreszcie pozbyć tego ciężaru — powiedział bez ogródek. — Musiałem być wszystkim: dyspozytorem, mechanikiem i stróżem, bo nie mieliśmy szopy na sprzęt. Ludziom trudno było dogodzić. Wiadomo, że mało traktorów. Czasem kółkowe maszyny niepotrzebnie stały. Kółko miało straty, odrobiliśmy, ale to było ze szkoda dla naszego gospodarstwa. Teraz mogę wreszcie spokojnie zabrać się do budowy obory.

— Jak odpadła ta mechanizacja — opowiadał prezes z ożywieniem — przystąpimy teraz do melioracji. Założyliśmy już Spółkę Wodną. Zarząd wspólny z agronomem gromadzkim może więcej interesować się sprawami czysto produkcyjnymi: hodowlą, rozwojem kontraktacji, zamawianiem nawozów, wymianą ziarna siewnego, sadzenia kół...

Tego samego zdania był również prezes pniewskiego Kółka Rolniczego inż. Raczkowski:

Gdy o piątą po południu opuszczaliśmy Pniewy, z Bazy wyruszał jeszcze traktor. Jechał po materiały budowlane. Nowo przyjeździ traktorzysta zdawał swój egzamin. Miał pokazać co umie, aby wkuścić do grona swych dwudziestu kolegów. Załoga wie, że w czasie żniw pracuje się od świtu do nocy, za to później można nieco odpocząć. Jedyny kombajnista i zarazem mechanik Marian Jędrzejczak jeszcze nie wrócił do Bazy. W czasie żniw — powiada — pracuje jak diabeł.

Gdyby nie wysiłek całej załogi, pniewska Baza Maszynowa nie miałaby opinii jednej z najlepszych w Wielkopolsce. Jeden człowiek, choć by najbardziej przedsiębiorczy i energiczny, niewiele zdziałałby bez poparcia współtowarzyszy pracy.

MARIA POLCYNOWA

Zbigniew Mika

DZIEŁO DZIELNYCH LUDZI

Pewien rycerz, poddawszy się zabiegowi golenia, oznajmił na wstępie cyrulikowi, że jeśli go skaleczy — zetnie mu głowę. W chwilę potem, golibrodzie, widać ze strachu, ręka drgnęła, błękitna krew splamiła policzek zbrojnego. Nie czekając przeto na spełnienie niezbyt pomyślnie obietnicy, cyrulik po prostu podciął gardło rycerzowi, nim ten zdążył ruszyć się z fotela. Anegdota, jakich wiele, mówi o przebiegłości mistrza, a przypominała mi się w momencie, gdy poczułem czwarte z kolei skaleczenie. Mój fryzjer był tymczasem tak zajęty rozprawianiem o swoim mieście (profesjonalna to przywara), że nawet tego nie zauważył.

Wybaczyłem mu nieuwagę, gdyż dzięki temu, jednemu goleniu, zdobyłem materiał do połowy chyba reportażu. Po reszcie poszedłem sam, ale trop miałem znakomity...

Trudno być stolicą powiatu rolniczego, o glebach słabych — piaszczystych w znacznej części porośniętych lasem. Z czego tworzy życie intensywne, pełne współczesnego tempa i rytmu? Na czym oprócz budowy nowej i nowoczesnej ojczyzny, skoro ta powinna — zgodnie z programem — tętnić stukotem maszyn? Nie każdemu jednak miastu jest pisana kariera Nowej Huty, Płocka, Tarnobrzegu czy Konina.

Nie mówiono więc w Trzciance: potrzeba nam czynników miastotwórczych, niech je nam władza ludowa da; nie pokrzykiwano, że bez dużego przemysłu, przywrócone Macierzy miasto, nigdy się nie dźwignie z ruiny. Pragnienia wielkiej kariery oczywiście były, któż ich wtedy nie miał, ale poszły one inną drogą, przybrały kształt codziennej, może nie efektownej, ale ostatecznie efektywnej roboty, której wyniki opisać potrafi każdy niemal mieszkaniec Trzcianki: ze zrujnowanego wojną miasta, stworzono prężny ośrodek gospodarczy i kulturalny.

Czyja to zasługa? Na to pytanie nikt w Trzciance nie podejmie się odpowiedzieć, jednakże ludzie, podkreślając pracę całej społeczności, mówią, że nie obyło się bez tych, którym nigdy nie brak pomysłów i inicjatyw, bez tych, nienasyco-

nych działaniem. Powtarzają przy tym nader często: dyrektor Wiza, Aleksander Wiza lub po prostu — Wiza.

Przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Czesław Hudowicz, potwierdza te opinie: — Osobowość Wizy ma duży wpływ na wiele spraw w mieście. On jest nie tylko dyrektorem Ośrodka Transportu Leśnego — naszego największego zakładu, ale przede wszystkim działaczem, który doskonale potrafi łączyć interesy przedsiębiorstwa z interesem miasta, który, pojmując miastotwórcze znaczenie przez myślenie — potrafi je w interesie miasta potęgować i rozszerzać.

Jeśli przyjąć, że nazwa musi oddawać istotę działalności przedsięwzięcia, to Ośrodek Transportu Leśnego w Trzciance, powinien już dawno ją zmienić, powiedzmy na „Zakłady Remontowe i Transportowe Leśnictwa”. Kiedyś podstawowe zajęcie OTL-u, zwózka drewna — przestało bowiem dominować. Prymat wiodą teraz remonty kapitalne samochodów ciężarowych „Praga”: na 70 mln. zł planu rocznego, 40 mln. zł pochodzi z usług warsztatowych.

Na pokaznym parkingu OTL stoi setka krótkonosych, 5-tonowych wozów, stosowanych w pracach eksploatacyjnych lasów. W paru halach trwa remont silników, skrzyń biegów, układów sterowniczych, podwozi itp. Na niektórych stanowiskach wyrabia się części zamienne, w innych znowu działach uwiązają się spawacze, blacharze. 300 ludzi z Trzcianki i okolic, w tym wielu dziś już wybitnych znawców tego zawodu przywraca codziennie młodociężniście pojazdów.

— Może to nawet niewiele — mówi Bogumił Grajek, zastępca dyrektora Wizy — ale na warunki trzcińskie... Zaczęliśmy kiedyś przed laty od remontu na własne potrzeby, kilku traktorów, prostych „Ursusów”. Mieliśmy trochę prymitywnych urządzeń, paru mechaników i podkwalifikowanych ślusarzy zdolnych naprawić co najwyżej towarzyszący ciągnik. Już w 1961 roku wartość usług remontowych sięgała 3,5 mln. zł, obecnie — wzrosła ponad 10-krotnie.

Dyrektor Grajek nie przechwala się, ale jest patriotą swojego za-

kładu. Przybył tu z Poznania 15 lat temu na wizytację, jako inspektor jednostki nadrzędnej, i już pozostał na stałe. Nic tu w tym czasie nie działo się bez jego udziału i teraz, gdy mi pokazuje swoje gospodarstwo, czyni to w sposób szczególny; w jego objaśnieniach dostrzega się satysfakcję.

W drugim końcu dość rozległego terenu OTL stoi prawie gotowa, wielka hala nowego zakładu remontowego. Trwają jeszcze prace wykończeniowe, wkrótce zaczną się ustawiać maszyny. Wów czas będzie to fabryka z prawdziwego zdarzenia: co roku kurację odmładzającą przejdzie tu kilkaset ciężkich pojazdów, nie licząc produkcji części zamiennych.

Za rok, w przeddzień Święta Lipcowego, trzciński OTL będzie już tętnił pracą nowej hali. Za rok zakład przystroi się uroczysto, by obchodzić potrójne święto: ogólnonarodowe i lokalne — własnej załogi. To będzie także święto osobiste Aleksandra Wizy, którego tu jednogłośnie uważają za twórcę ośrodka w obecnym jego kształcie.

Kto wie, czy już teraz dyrektor Wiza nie myśli o dalszej rozbudowie zakładu, nie marzy o wielkiej industrializacji? Może OTL rzeczywiście będzie załóżką jakiejś „dużej motoryzacji”? Prognoza to wprawdzie odległa i moja osobista, ale chyba nie przesadna, jeśli zważyć, że OTL będzie jedynym w kraju wykonawcą remontów kapitalnych „Prag”, a jednocześnie sporym skupiskiem młodej kadry samochodziarzy.

Całe przedsięwzięcie było bardzo śmiałe, a nawet — jak kiedyś na początku oceniano — ryzykowne. Jednakże cechuje je konsekwencja, cierpliwość i planowa dążność do celu. Tym to walorom należy zawdzięczać, że uniknięto zbędnej improwizacji; wraz z rozbudową zakładów postarano się o zabezpieczenie dopływu fachowców. Nie zdając się więc na przypadkowy werbunek — zorganizowano w OTL Zasadniczą Szkołę Zawodową, a nawet własne Technikum Samochodowe.

Dla stabilizacji załogi, a zwłaszcza dla zatrudnienia kadry z wyższym wykształceniem, niezbędne są mieszkania. Założono więc spółdzielnię mieszkaniową. Prezesurę przyjął dyrektor Wiza. Niewiele czasu minęło i w 8 blokach żyje dziś 200 rodzin, także spoza załogi OTL. W planie jest 6 dalszych bloków na 300 mieszkań, bowiem 102 członków czeka na przydział. Lista kandydatów na członków spółdzielni urosła do 320. A przecież na początku, to był chyba jedyny w naszym kraju przypadek, domy stały już, a brakowało członków. Dziś następowal wpis, jutro dawano mieszkanie. Ale mając takie argumenty w zanadrzu mógł dyr. Wiza wbrać się do Poznania na poszukiwanie niezbędnych mu inżynierów. Szukał nie bez rezultatu: 5 młodych absolwentów Politechniki Poznańskiej osiadło w Trzciance na stałe i pracuje w OTL.

Tej właśnie piątce powierzono robotę obecnie najważniejszą: przygotowanie technologii i organizacji remontów w nowym zakładzie. Zadanie o tyle trudne, że doświadczeń większych w naszym kraju w tej akurat dziedzinie raczej brak. Czerpano więc wiedzę, skąd się dało, zważano fabryki krajowe, wyjeżdżano do Brna, sięgano do literatury.

Inżynier Leszek Grzelak wprowadza mnie w tajniki swojej roboty, bom wyraził wątpliwość, czy remonty rzeczywiście potrzebują aż takich przygotowań. Rzecz w tym, że OTL chce porzucić stare metody i przejść na system przemysłowy z zastosowaniem głębokiego podziału pracy i specjalizacji. Tylko wówczas będzie można uzyskać planowane efekty. Ten system ma także zapewnić potrojenie produkcji przy zwiększeniu załogi tylko o 100 procent.

Przed inżynierami piętrzy się ster ta przeszłość, niespodzianek i znaków zapytania. Być może, że i tym razem niejedno doświadczenie trzeba będzie okupić błędem i stratą, upokorzeniem i nieprzespaną nocą? Czyż jednak miałyby to oznaczać, że trzeba pozostać przy starych sposobach? Na to by się tu nikt nie zgodził.

CEKAWI LUDZIE CEKAWY SPRAWY

Harcemistrz Zdzisław Majchrowicz działa w harcerstwie okrągłe 30 lat, od 1937 roku, kiedy to wstąpił w szeregi Zuchów. Zawodowo pracuje w Wierzbicy jako kierownik wydziału obróbki cieplnej, społecznie zaś w Związku Harcerstwa Polskiego jako komendant Hufca Poznań Jeżyce. Funkcję tę piastuje już czwarty rok. Przedtem był zastępcą komendanta Hufca na Starym Mieście. Od 10 lat jest też członkiem Kom-



Zdzisław Majchrowicz

Fot. — K. Przychodźki

tetu Dzielnicy PZPR na Jeżycach. Miałem możliwość przyjrzeć się trochę jego podejściu do młodzieży, która traktuje go jak ulubionego nauczyciela i darzy przyjaźnią jak starszego dobrego koleżę i druha. A on? Widać, że młodzież to jego pasja. Poświęca jej prawie wszystkie swe wolne chwile. Mówimy — o czymże innym moglibyśmy mówić? — o harcerstwie.

— Jeżycki Hufiec liczy około 3500 harcerów, harcerzy i zuchów. Czy to was zadowala? Chodzi o to, czy szeregi ZHP i na Jeżycach i w ogóle nie mogłyby jeszcze wzrosnąć?

— Na pewno tak. Chociaż daleki jestem od zdania, że harcerstwo powinno obejmować całą młodzież. Najlepiej byłoby, gdyby mniej więcej trzecia część uczennic i uczniów szkół podstawowych należała do harcerstwa. Naszym wpływem obejmowalibyśmy wówczas wszystkich: oddziałalibyśmy nawet na nieorganizowanych. Nasz Hufiec skupiałby około 5000 młodych, żądnych przygód ludzi...

— Dlaczego tak nie jest? Ściślej: gdzie przyczyna takiego stanu rzeczy?

— W słabym zaangażowaniu nauczycieli do pracy w szkolnych organizacjach harcerskich. W całym Hufcu zaledwie 16 nauczycieli aktywnie pracuje w ZHP.

— To dziwne, przecież nauczyciele znani są na ogół ze swego społecznikostwa.

— Prawda, ale duża część poznańskich nauczycieli studiuje zaocznie. I właśnie w lipcu, kiedy wychowawcy są najbardziej potrzebni na różnego rodzaju obozach i biwakach, muszą zdawać egzaminy. Sierpień zaś chcą mieć dla siebie. Mimo to jednak wielu nauczycieli mogłoby

się osobiście bardziej zaangażować w sprawy harcerskie.

— Trzydzieści lat w harcerstwie to okres, w którym można zebrać sporo spostrzeżeń i doświadczeń zwłaszcza na temat wychowania w organizacji. Co, Pana zdaniem, daje harcerstwo młodemu kandydatowi na obywatela?

— Po pierwsze, pomaga w jego wychowaniu, po drugie — uczy samodzielności, wyrabia inicjatywę i po trzecie wdraża do myślenia i działania kategoriami grupy — zastępu, drużyny, szczerpu, czy całego obozu.

— A więc kategoriami społecznymi?

— Właśnie.

— Jakich form przybiera to społeczne wychowanie młodzieży na waszym obecnym zgrupowaniu Hufca?

— Jest tu, nie licząc kadry, niemal 500 harcerów, harcerzy i zuchów zgrupowanych na 5 obozach. Wszyscy wezmą udział w akcji „Runo leśne” i mają zebrać po pół kilograma kurek każdy. Poza tym pomagamy przy pielęgnacji szkółek leśnych, „oczesujemy” młodniki sosny z suchych dolnych gałęzi. Starsi harcerze w PGR Szczuczarski pielęgnują kukurydzą. 21 lipca zorganizujemy przemarsz zgrupowania ulicami Czołpy* i uroczyste ognisko dla okolicznej ludności, a w Święto Odrodzenia nasza orkiestra i kadra wezmą udział w uroczystej sesji Gromadzkiej Rady Narodowej. Parę dni wcześniej mamy tutaj naszą wewnętrzną olimpiadę wszystkich drużyn harcerskich, a 20 lipca — olimpiadę między okolicznymi koloniami a naszym zgrupowaniem. Nie jesteśmy bynajmniej jakimś wyjątkiem. Podobną działalność przejawiają niemal wszyscy harcerze przebywający na obozach.

— Tak, na obozach szczególnie kształtują się umiejętności wspólzastopowej młodzieży w grupie społecznej. Ale działalność harcerstwa nie rozwija się bez przeszkód. W czym Pan upatruje najpoważniejszą z nich?

— Zbyt słaby nacisk w szkołach na pracę społeczną młodzieży. Nie chodzi mi przy tym wcale tylko o młodzież harcerską. Chodzi o całą młodzież szkolną. Doświadczenie uczy, że tam, gdzie młodzi umieją myśleć kategoriami społecznymi, tam się rozwija harcerstwo i na odwrót.

— No, a rodzice? Czy tylko szkoła powinna cały ciężar wychowania brać na swe barki?

— Oczywiście, rodzice powinni współdziałać w trudnym procesie wychowania. Niestety, nie zawsze tak jest. Słyszałem o rodzicach, których dzieci muszą uciekać z domu na zbiórki harcerskie. Zjawisko tym bardziej godne zastanowienia, że ta postawa rodziców jest nie tyle wynikiem złej woli, czy negatywnego stosunku do pracy społecznej, ile rezultatem braku zaufania do naszych metod, programów itp. Jest dowodem, że jeszcze nie wszyscy dorośli wierzą w skuteczność działania ZHP, niektórzy wolą działać na własną rękę...

— ... Nie zdając sobie sprawy, że w ten sposób mogą wychować swoje ukochane dziecko na człowieka niezaradnego i kiepsko przygotowanego do współżycia i współdziałania z otoczeniem.

— Właśnie.

Rozmawiał:

MARIAN FLEJSIEROWICZ

* Koło Czołpy w powiecie Wałecz woj. koszaliński znajduje się zgrupowanie obozów Hufca ZHP Poznań Jeżyce. Rozmawialiśmy w pierwszej połowie lipca, stąd czas przyszedł.

NIEPRZEMAKALNI

Oni forsują wodne prze-
szkody bez względu na
porę roku i pogodę...
Fot. WAF

Transport jednostki wynosił wówczas: 2 samochody, 261 — koni... Wówczas. To było przecież tak niedawno, 23 lata temu. A jednak to już historia. Dzisiaj ołbrzymie cieleśka okrętów otwierają paszce, z których wytańczają się stalowe kolosy czołgów i pancernych transporterów pływających po wodzie jak korki. Dzisiaj nowoczesne łodzie desantowe... To 23 lata historii i wiek w technice.

Stoję w sali tradycji — tak to się nazywa — i patrzę na zdjęcia tych, którzy walczyli o wolność. Rogatywki, owijające, twarze zmęczone, ale szczęśliwe z odniesionego zwycięstwa. Są zdjęcia tych, którzy przeżyli i tych, których groby wytyczają bojowy szlak, a za oknem migają chłopcy w niebieskich beretach, giną w czeluści jakiegoś wiazu, aby po kilkunastu metrach podziemnej wędrówki wygramolić się z betonowego kominu i kontynuować spacer po ogródku. Przeciwnemu śmiertelnikowi wydawać się on może przedświatłem piekła. Jak mały czepiają się lin, ładują na huśtających się mostkach, z kocią zrecznością czołgają się po dwóch stalowych linach zawieszonych na dużej wysokości, biegają po palach i słupkach, giną pod ziemią i znów fruują w powietrzu. Oka nie mogą od tego oderwać. Trening akrobatów cyrkowych czy normalne zajęcia wojskowe?

— Niech pan się nie dziwi, redaktorze, mówi towarzyszący mi oficer, to są młodzi chłopcy. Ćwiczą dopiero 3 miesiące i dlatego sprawnie ich jest jeszcze przeciętna, ale będą z nich żołnierze w niebieskich beretach.

Zdumienie moje jeszcze bardziej się pogłębia. Jak wobec tego ćwiczą żołnierze po dwóch latach służby w tej jednostce?

— Jutro pan zobaczy.

Niebieski beret — duma każdego z tych chłopców. Zagrozili pozycji wielowiekowej elity wojskowej na Wybrzeże — marynarzom, którzy cieszyli się szczególnym wzięciem wśród dziewcząt. Dzisiaj w centrum zainteresowania są oczywiście niebieskie berety. Nic dziwnego. Podbić Wybrzeże bez reszty w ciągu zaledwie trzech lat mogli tylko oni. Nie dokonali tego, ani zgrabna sylwetka i wręczność, ani beret, ale o osobisty wdzięk każdego z nich, wychowywanych w dużej dyscyplinie przy jednoczesnym maksymalnym udziale świadomości i własnej odpowiedzialności. Po przysiedze do-



stają stałą przepustkę. W dniach wolnych od zajęć wewnętrznych — służby wartowniczej czy innej, po godzinie 17 każdy może dowolnie dysponować swoim czasem. Bramy koszar stoją przed nimi otworem. Chcą iść do miasta — idą, chcą zostać w jednym z licznych klubów czy świetlic na terenie jednostki — zostają. Ta forma zdała egzamin. Dowództwo jednostki zamierza zrobić dalszy krok, a mianowicie pozwolić przebrać się w cywilne ubranie po służbie.

Nie dzieliłem się z oficerami moimi uwagami na ten temat, ale wydaje mi się, że niewielu skorzysta z tego przywileju, bo któż będzie wiedział na ulicy, że za zwykłym cywilnym chłodem kryje się chłopak z niebieskich beretów?

„Nieprzemakalni” — sami się tak ochrzczili. Do żadnej formacji nie pasuje to określenie tak, jak właśnie do nich. Pora dnia i roku nie ma dla „beretów” znaczenia. Marzec, lipiec czy listopad, są tylko nazwami z kalendarza. Oni forsują wodne przeszkody bez względu na porę roku i pogodę. Z kutrów desantowych zatrzymujących się nieopodal brzegu, wysypują się żołnierze w niebieskich beretach, jak kasztany z przewróconego worka. Brną po pas w wodzie, zalewani przez fale, opanowują plażę i wydme, zajmują dogodną pozycję obronną. — Strzelanie z ładu do chybocącego na

fali celu czy z kołyszącej barki do stałego celu nie sprawia im różnicy.

Starzy oficerowie piechoty opowiadają, jak to kiedyś się maszerowało. Dzisiaj nawet do pobliskiej strzelnicy jedzie się samochodem — bo... piechota jest przecież zmotoryzowana. Takie opowiadania można, przy niebieskich beretach, między bajki włożyć. Oni wiedzą doskonale co to jest 45-kilometrowy marsz ćwiczebny. Każdy z nich wielokrotnie przemierzał już taką trasę. Każdy z nich wie, co to jest skok do lodowatej wody w morzu, wie co to reńskie koło i żyroskopowe koła przyzwyczajające do kapryśnych rozszalałego morza. Oficer zapewnia mnie, że żołnierze jednostek Piechoty Obrony Wybrzeża są naprawdę nieprzemakalni. Mundur w czasie zajęć czasem się zamoczy, ale wystarczy 15 kilometrów, nawet w zimie, aby wysychnąć.

Jedną rzecz można robić naprawdę dobrze, ale czego ci chłopcy nie potrafili niemal doskonale? Kiedy komisja MON-u wizytowała zajęcia połączone z ostrym strzelaniem, każda spakować sobie tarczę, jako dowód rzeczowy do protokołu. Sprawdzian praktyczny i teoretyczny w przypadku wybranej kompanii kpt. Jana Nowobilskiego zakończył się przyznaniem jej pierwszego miejsca w Wojsku Polskim.

Twarde jest życie w niebieskim berecie, ale żaden z chłopców, który dostąpił tego zaszczytu, nie zamieniłby tej służby na inną. Nie dziwię się im. Sam bym chyba tak postąpił, mimo że trochę boję się tej zimnej wody, tego piekielnego ogródka „zwiedzanego” niemal kilka razy dziennie przez każdego żołnierza, tych stalowych kolosów gąsienicowych, równie sprawnie poruszających się po wodzie, jak i po piasku. To wszystko trochę przeraża laika, ale odpowiedział na jego wątpliwości mogą być karty zdrowia każdego żołnierza i systematycznie zbierane wyniki ogólne. Wynika z nich, że po dwóch latach służby, każdy z tych młodych ludzi jest o wiele silniejszy, wyższy, cięższy, sprawniejszy, szybszy... Długa jest lista tych przymiotników. A więc nie taki straszny diabeł, jak go malują. Do tych fizycznych zalet dodajmy wzorowe wychowanie obywatelskie, ofiarności, umiejętność radzenia sobie samemu w najtrudniejszych warunkach, a otrzymamy obraz żołnierza, który różni się od innych, nie tylko nakryciem głowy. Dobrych mamy obrońców naszego Wybrzeża.

Kiedy wchodząc do sali tradycji, spostrzegłem na frontowej ścianie hasło, które jest chyba mottem wszelkich praktycznych poczynań niebieskich beretów. Są to słowa generała Karola Świerczewskiego: — „Więcej potu na ćwiczeniach, mniej krwi w boju”.

On przepracował jedno lato

Z listu do redakcji: „... więc zwracam się o pomoc i poradę, bo jestem sama z tą trójką i teraz boję się, żeby mi się chłopak nie schulił. W szkole to go zawsze przypilnują. Ale teraz (...). Znosi się na to, że on lato spędzi na rogu ulicy, razem z tą bandą (...). Może nawet do szkoły nie będzie chciał wrócić...”.

Górnicy mają flagę czarno-zieloną. Maluchy gapią się na nią, zadzierając wysoko głowy i w pełnym atencji zdziwieniu, pakuja zabrudzone przy zabawie palce do ust.

„Starsi się też dziwili, tyle że inaczej — śmieje się Józef Misiuna — byradzista grupy mechaników i elektryków — przychodzili do nas i pytali. Nieraz tak się zaczynało znajomość...”

„Jaka znajomość, stary? — ktoś wychylając się z okna, na piętrze budynku, usiłuje przekrzyknąć melodię „Pożaru w Krapkowicach” — te twoje znajomości całkiem inaczej zawierają. Na sali balowej...”. Głośny, chórny śmiech zagłusza dalsze słowa:

„Zmień płytę — dobra? Dosłownie też!”

Bo „Pożar” chłopcy sobie szczególnie upodobili. Najchętniej zabraliby pewnie wzmacniacz, nadajnik i megafon do swoich stanowisk pracy. Tyle, że wtedy byłaby zapewne kłótnia o to, kto ma te urządzenia zabrać. Chłopcy pracują bowiem w trzech grupach, i to w oddalonych od siebie kilometrami majątkach: — Działaniu, Bojanicach, Strychowie i Kopydłowie. Jedni przy żniwach, drudzy przy remontach budowlanych, a trzecia grupa naprawia instalacje elektryczne. Zależnie od kierunku wybranego w szkole — Technikum Górniczym w Koninie.

Więc przy tych dźwiękach je się obiad, czyta listy od znajomych, odbywa popołudniową sjeść, zmienia garderobę przed wyjściem na...

— Właśnie. Gdzie wy tu wychodzicie po pracy?

— Trochę z tym krucho, bo tu na wsi, to właściwie nie ma co robić. Ale na miejscu, w majątku jest Dom Socjalny — tam gdzie mamy stołówkę. Jest klub z bufetem, sala widowiskowa z telewizorem. Tam właśnie urządzamy sobie wieczorki taneczne (tylko z kim tu tańczyć — dziewcząt mało!), robimy koncerty życzeń dla wszystkich mieszkańców, gramy w siatkówkę. Chcemy urządzić wyjazd do Gniezna — do teatru, kina czy tamtejszego Muzeum Archeologicznego...”

Po pokoju, gdzie jest i sprzęt radiowo-transmisyjny (przysyłany z Technikum), i łóżka, i garderoba, kręci się kilku chłopców. Już na klatce schodowej jeden z nich pokazuje mi przez okno ten, udekorowany specjalnie fronton budynku administracyjnego — Przedsiębiorstwa PGR — Działu, w którym mieszka. „Sami robiliśmy...”

— Wie pan, chciałabym wiedzieć, dlaczego pan akurat tutaj przyjechał na lato. Jest przecież morze i góry — wygodna. Są różne obozy wędrownie czy stałe organizacji młodzieżowych. Nie dostał się pan?

— Właśnie — nie dostałem się. A poza tym, proszę pani, to tu sobie można nieźle zarobić: przez 2 tygodnie, po odrzuceniu częściowej — z naszej strony — odpłatności za wyżywienie, zostaje na czysto około

800 zł. A po zamknięciu tego tu turnusu, jedziemy dalej, do Strzelc Krajeńskich, też do hufca. Zarobię, kupię ten spodzian, zostanie też na jakieś wczasy... Rodzice mi dać nie mogli. Zresztą sami też nie wyjeżdżają, nigdy...

— No, niby tak. A pan? — zwracam się do innego.

— Tak samo, co tu powtarzać.

— No, i zadowoleni jesteście, czy macie ochotę wygarnąć komuś?

— My? Nie, naprawdę nie. Aż żałujemy, niech pani wierzy, że to się już kończy.

— Ilu pan ma takich chłopców pod opieką, panie Komendancie?

— Trzydziestkę. To są zresztą wszystko moi uczniowie z Technikum, przeważnie z trzecich klas. Tutaj mi w kierowaniu turnusem pomaga rada. Ja jej przewodniczę, a moim zastępcą jest Misiuna.

— Jacy oni wracają po wakacjach, spędzonych w hufcu pracy?

— Mówili pani już o tym, że są zadowoleni. I naprawdę są! Przecież oni tu mają świetne warunki, również do wypoczynku: jezioro, las, boisko do siatkówki, klub, telewizor. No, a poza tym, taki pobyt daje im również piękną lekcję obywatelskiego, społecznego zaangażowania...

Choćby zaczynając od tej, czarno-zielonej flagi. Ludzie pytali, oni wyjaśniali im, że to górnicza, a przy okazji nieraz wywijała się długa rozmowa na temat konińskiego zagłębia, pracy w tym zawodzie, na temat zadziwiającego w ostatnich latach — rozwoju tej ziemi. Chłopcy przywieźli zresztą ze swej szkoły wystawę fotograficzną, a na jej otwarcie, Misiuna przygotował pogawędkę o dorobku i pięknie Ziemi Konińskiej. Sala widowiskowa Domu Socjalnego nie mogła pomieścić chętnych. Na wsi jeszcze nie zawsze atrakcji pod dostatkiem. Takich pogadanek — spotkań z mieszkańcami, urządzili zresztą więcej.

— Niech pani spojrzy — komendant Jan Welke przerywa moje rozmyślenia — ci tutaj jadą do Strychowa remontować chlewnię. Dzieściu. Właśnie wyszli z obiadu. Ten — pani go już zna — to Józef Misiuna, byradzista. A ten, taki blondynek, to Wiesław Kiciński. Przyjeżdża już na Ochotniczy Hufiec Pracy trzeci raz. Ten drugi zresztą też, ten, co narzędzia układa na ciężarówkę, Jan Polczyński. Wszyscy z III klasy. Ich ta przymusowa samodzielnosc nauczy i gospodarności, i oszczędności. No, przecież to dla nich świetna praktyka...

— Znowu nauczył w panu się odezwał.

— Chyba tak. Ale to ważne dla nich. Dobre wyniki nauczania, terminowe ukończenie szkoły dają im zawód w rękę i szansę, że będą potrzebni, cenieniymi fachowcami. A tutaj mają jedyny w swoim rodzaju sprawdzian swojej wiedzy. Bo to nie to samo, co szkolna praktyka.

Kiedy schodziłam po kamiennych schodkach budynku w głąb rozległego parku, raz jeszcze usłyszałam natrętą, wciskającą się w uszy melodię „Pożaru”. W rytm zabawnych zresztą słów, informujących mnie o tym, że do pożaru na wsi: „jadą, jadą odważni straża-a-cy, złote hełmy na ich głowach lśnią...” — przyszło mi nagle na myśl, że przecież jest szansa, aby żaden chłopak po znański nie spędził lata na miejskim bruku.

doredaktora
CWSU

Przemysł a nie Przemysław

Jest rzeczą nader godziwą, aby miasto Poznań uczciło postawieniem pomnika swoich twórców i dlatego bardzo cieszę, historyków zwłaszcza, inicjatywę rozpisania konkursu na pomnik Przemysła. — I. Właśnie. Przemysła a nie Przemysława. Od wielu lat pracuję nad źródłami historycznymi Wielkopolski (i nawet otrzymałam za to nagrodę miasta Poznania), lecz ogarnia mnie wielki smutek, że cały wysiłek jaki wkładam, aby poprawnie odczytać i poprawnie oddać w druk historyczne zapisy imion i nazw staropolskich, idzie na marne. Bo co z tego, że prawidłowymi formami imion posługują się „fachowcy”, kiedy reszta społeczeństwa upiera się przy formach błędnych.

Jest zjawiskiem nagminnym, że korektorzy w wydawnictwach w ostatniej chwili wprowadzają do tekstów już przez autorów poprawionych efekt swoich fałszywych skrupułów: zamiast Przemysła na Przemysława. Ani razu, podkreślam: ani razu, księżęta wielkopolscy XIII w. nie użyli formy Przemysław. Nawet późniejszym kopistom źródła trzynastowiecznych rzadko zdarza się zamiana Przemysła w Przemysława. Przemysław jest formą późną (może by na łamach prasy poznańskiej zabrali na ten temat głos językoznawcy), a właściwie to nawet różnym od Przemysła imieniem, utworzonym na wzór Stanisława i Janisława, podczas gdy Przemysł jest imieniem analogicznym do Ziemomysła. A przecież nikomu nie przyjdzie do głowy zmieniać Ziemomysła (lub Siemomysła) w Ziemomyśława.

O nowym pomniku pisało już w prasie poznańskiej kilkakrotnie. O ile dolać zauważyć, tylko za pierwszym razem (w „Expressie”) pojawiło się prawidłowe nazwisko: Przemysł I. Potem czytaliśmy już tylko o Przemysławie. Obawiam się, że tym razem nie jest to tylko poprawka nieświadomych rzeczy korektorów. Tkwi za tym jakieś przedwzięte postanowienie, aby nie pytać o to w środowisku naukowym, tylko trzymać się błędnej formy tradycyjnej. Także na opublikowanej makiecie pięknego pomnika duża Józefa Kopczyńskiego czytamy o zgrozo: PRZEMYSŁAW I, bowiem miasto rozpisало konkurs na pomnik Przemysława — nie Przemysła. Mamy w Poznaniu jak wiemy poza tym i Zamek Przemysławski, i Górę Przemysławską, i szkołę imienia Przemysława, i wciąż mówimy o grodzie Przemysława. Zgłaszam pilny wniosek, aby właśnie w grodzie Przemysła posługiwać się formą poprawną. Trzeba więc wprowadzić korekturę do nazwy szkoły, do nazwy góry, do na-

zwy zamku. Ostatni też dzwonek, aby poprawić inskrypcję na pomniku. W przeciwnym razie zmonumentalizujemy nasz błąd i będzie za późno.

Inna sprawa, to kwestia założycieli lewobrzeżnego miasta Poznania. W dokumencie lokacyjnym w r. 1253 czytamy: nos Premisl et Boleslaus fratres uterini... duces Poloniae — podobnie jak w wielu innych dokumentach z tego okresu współrządów książęcych. Należy się więc coś również Bolesławowi i wielka to szkoda, że nie ma tego drugiego księcia na pomniku. Zważając, że o nikim innym, tylko o Bolesławie Pobożnym zanotował współczesny rocznikarz: Iste Boleslaus fuit maximus triumphator de Teutonibus et homo virilis, quia nullum regem quantumcumque potentem timebat. Co znaczy: Ten Bolesław był bardzo wielkim triumfator nad Niemcami i był dzielny człowiekiem, ponieważ nie bał się choćby i najpotężniejszego króla.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku
BRYGIDA KURBISÓWNA

DOM

Dokończenie ze str. 1

osobiście przez Przewodniczącego Edwarda Ochabę. Jest tam też dyplom WK FJN. Wodziecna bowiem okazała się najlepszą pod względem czynów społecznych w powiecie. „Wyszła zza opłotków” — tak to było powiedziane.

Więc Dom zwany tu Ludowym stanął, w Święto Lipcowe będzie uroczysto otwarty. I co dalej? Co w nim się będzie działo? Stoimy ciągle na spalonym słońcem dziedzińcu przed Domem. Pada znowu odpowiedź kolektynna. Każdy bowiem dodaje coś do siebie.

„Zebrania wiejskie tu będziemy

odbywać, weseliska się tu robi, zabawy. Szkolenie rolnicze będziemy prowadzić. Telewizję w klubokawiarni oglądać. Przyjdzie się po prostu czegoś napić i pogadać. Młodzież będzie miała nareszcie jakieś miejsce dla siebie. Pośpiewamy i potaneczmy w naszych zespólach artystycznych”.

O tych zespólach rozmawiałem już wcześniej z kierowniczką szkoły. Bo to właśnie pani Jędrzejewska wraz z koleżanką Agnieszką Baszyńską spróbowały w tym roku utworzyć zespoły. Początek był trudny, po prostu niektórzy we wsi wydzielali, śmiali się z tych, co zaczęli chodzić na próby. Dziś opory zostały przełamane, ale nie było to łatwe. I w Święto Lipcowe zespoły po raz pierwszy w swoim Domu, i pierwszy raz w ogó-

le wystąpią publicznie. A więc zespół regionalny (którego duszą jest 70-letnia Kazimiera Baron) z tańcami wielkopolskimi, śpiewami i przyśpiewkami, zespół młodzieżowy ZMW z programem nowoczesnym przy akompaniamencie gitar, wreszcie wystąpi też szkoła i przedszkole.

Kiedy tak sobie gwarzymy przed Domem, Jędrzejewska stoi skromnie na boku, raz po raz tylko zwraca komuś z budujących uwagę, że trzeba tak a nie inaczej. Jak przez cały ten rok do końca dogłąda każdego szczegółu budowy. Aż dziw bierze ile człowiek może zrobić. Jędrzejewska tu w tej zapadłej wsi zrobiła znacznie wyższe studia matematyczne, dziś nie tylko uczy w wiejskiej szkole ale jeszcze dojeżdża do liceum dla pracujących w Kępnie, gdzie uczy

matematyki. Jest aktywistą partyjnym, sekretarzem propagandy KG, działa na innych polach. No i ten Dom. Jak ludzie to robią? — myśli sobie. „On nam rozruszał organizację partyjną” — mówią mi o Jędrzejewskim w Komitecie Powiatowym PZPR w Kępnie. „Dzięki niemu ona żyje i aktywnie działa”. A ja pomyślałam sobie, że szukamy czasami wzorów współczesnego bohatera, człowieka zaangażowanego bez reszty w nasze życie, szukamy niekiedy daleko. A on bywa tuż, tuż. W Wodziecnej w każdym razie daleko szukać nie potrzebują.

MIECZYSLAW SKAPSKI

Bez wałówki ani rusz?

Ktoś rzucił kiedyś taki projekt, aby w zimie do tramwajów jadących na pętle gołęcińską przyczepiać małe wozy robocze jako bagażowe przyczepki do przewożenia nart i sanek. Przypomina mi się, że pomysł był wcale ciekawy, ale nic z tego nie wyszło, gdyż śnieg w Poznaniu jest rzadkością jak nie przymierzając dobry mecz piłkarski (wygrany!) i dlatego z powodu kapryśnej zimy, a nie czyjegoś zarządzenia, trzeba było odłożyć projekt do lamusa.

Dziwnie się to może wydawać niektórym, że wspominam tę historię w połowie upalnego lata, ale przypomnieli mi się kiedyś w niedzielne przedpołudnie znalazłem się na p. Waryńskiego w pobliżu autobusu odjeżdżającego do Krzyżownik. Kolejka przypominała po trosze obrazek sprzed lat, kiedy poborowi maszerowali w zwartym szyku ulicami miasta, a każdy z nich niośł paczkę, będąca wynikiem pierwszego bodaj rozkazu wojskowego uwidocznionego na karcie powołania: zabrać żywność na 3 dni. Kolejkowicze mieli podobne wałówki. I wtedy przypomniała mi się ta historia z gołęcińskim tramwajem. Przecież autobus mógłby z powodzeniem ciągnąć przyczepę załadowaną wiktualiami niedzielnych czasowiczów. Główne pozycje menu wycieczkowego stowiarz: kotlet smażony, jajka na twardo, kompot z rabarbaru albo woda z sokiem. Czasem sasiaduje z tym wszystkim ciurciurka z czerwoną kartką, ale to jest odrębny problem.

400 teatrów poezji w Poznaniu

Zorganizowany po raz trzeci przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz TPP-R Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Teatrów Poezji objął w br. rekordową liczbę blisko 400 zespołów. Do eliminacji przystąpiło 35 zespołów studenckich, 105 szkolnych, 150 robotniczych, 50 wiejskich i 40 wojskowych. Założeniem tej wielkiej imprezy, zorganizowanej dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej, jest dalsze spopularyzowanie i upowszechnianie postępów, humanistycznych i rewolucyjnych treści, zawartych w radzieckiej i polskiej twórczości poetyckiej, ze szczególnym uwzględnieniem dzieł o tematyce związanej z Rewolucją.

W ostatnich dniach ustalono na posiedzeniu centralnego jury festiwalu, któremu przewodniczy Julian Przybóś, że do Poznania, gdzie w dniach 23—29 października br. odbędzie się Ogólnopolski Festiwal, uda się 27 najlepszych teatrów poezji.

Festiwal Teatrów Poezji staje się z każdym rokiem coraz bardziej popularną imprezą. W pierwszym festiwalu w roku 1963 wzięły udział 92 zespoły — (zdobywca pierwszego miejsca został wówczas studencki „Teatr 38” z Krakowa za montaż poezji Majakowskiego pt. „23 strony maszynopisu”). Do drugiego festiwalu w roku 1964 zgłosiło udział już blisko 300 zespołów.

(Kt-PAP)

Czyżby stara tradycja kazała nam być w podróży zawsze samodzielni i liczącymi tylko na własny magazyn żywnościowy? Tradycja chyba nie, raczej praktyczne ustawienie się do aktualnej sytuacji panującej na kapieliskach. Bo przecież poznający wcale nie są tacy konserwatywni, jak im to niektórzy wmawiają. Wszystko co nowe a dobre przyswajają sobie i rozpowszechniają. Weźmy dla przykładu wchodzenie tylnym pomostem do tramwaju, kolejki na postojach taksówek, czy płacenie konduktorowi zajmującego stale miejsce w tramwaju. Czy przed laty było to do pomysłenia?

Dlaczego więc nie doceniają handlu i targają ciężkie wałówki na plażę? Ano z tym niedocenianiem wcale nie jest tak jak wynikałoby to z szyldów reklamowych, spotkań na drogach. Spróbujcie (!) kiosku spożywczego nad Jeziorem Kierskim w okolicy Krzyżownik, gdzie plaża okupuje kilkanaście tysięcy ludzi.

Obiektywnie przyznać trzeba, że nasz handel zrobił już duży krok naprzód w zaopatrywaniu podmiejskich czasowików niedzielnych, ale daleko mu do operatywności tramwajarzy. Dla handlu rok dzieł się, niestety, nadal na sezon i okres, pozasezonowy. Tramwajarze natomiast w sezonie uwzględniają również dni pogodny. Kiedy tylko zaświeci słońce, dla MPK przestaje istnieć rozkład jazdy. Decyzję zmienia się w ciągu godziny i liczba autobusów obsługujących atrakcyjną trasę też. W handlu obowiązują wyprzedzenia w składaniu zamówień. Za zepsucie nadmiaru tzw. masy towarowej wini się chmury, które odstraszyłyby letników albo pustym półkom kioskowym słońce, które niespodziewanie zaświeciło.

Są wprawdzie miejsca na tej ziemi, nawet niezbyt odległe, które mają albo lepsze znajomości u Wicherka i pewniejsze źródło informacji, albo inną organizację. Ale to jest ich słodka tajemnica. My mamy wypracowane metody i niedzielnych turystów przyzwycajonych do własnego wikt. Po co się więc trudzić?

Skoro nadziei na szybkie zmiany w funkcjonowaniu handlu nie ma a na pogodny dzień jest, zastanówmy się jak je najlepiej wykorzystać. Musimy się bowiem uderzyć w pierś i uczciwie przyznać, że w umiejętności wykorzystania wolnego czasu wcale nie jesteśmy mocni. Tu pokutuje niestety tradycja przez nas samych kultywowana. Cały tydzień przygotowujemy się do wypoczynku... słownie, a w sobotę praktycznie, biegając po sklepach za zakupami. Robimy ostatnie przysiady, plażówek, smażymy to i owo, częściej pakujemy (zbyt wiele gratów) i w ferworze tych przygotowań zapominamy, że wypocznym powinniśmy zacząć się przecież koło południa, po skróconym, sobotnim dniu pracy. Nie zdajemy sobie po prostu sprawy, że jedno piękne i długie po południe zmarnowaliśmy na przygotowania. Tylko przy założeniu, że tydzień jest krótszy po to, abyśmy rozpoczęli wypocznym, a nie przygotowania do wypoczynku, możemy wiele zyskać.

Zdaje sobie sprawę, że będą opo- nenci takiego stanowiska wyrażając dziesiątki „ale”... Nie zmienia to jednak faktu, że przyzwyczajenia i upodobania się zmieniają. Pomagają nam w tym organizatorzy wypoczynku w podmiejskich ośrodkach, pomagają tramwajarze, pomoże i handel wspólnie z gastronomią. Bądźmy optymistami. (Bod.)

„Małżeństwo po włosku”. Film produkcji włosko-francuskiej. Scenariusz: E. De Filippo, R. Castellani, A. Guerra, L. Benvenuto, P. De Bernardi (wg sztuki E. De Filippo „Filumena Marturano”). Reżyseria: Vittorio De Sica. Wykonawcy: Sophia Loren (Filumena Marturano), Marcello Mastroianni (Domenico Soriano), Aldo Puglisi (Alfredo), Tecla Scara- no (Rosalia), Vito Moricone (Riccar- do, syn I), Generoso Cortini (Miche- le, syn II), Giovanni Riboldi (Umber- to, syn III) i inni. Nagroda dla So- phii Loren za najlepszą kreację ko- biecia na MFF w Moskwie w 1964 r.

Tytuł jest mylący, wyraźnie re- klamiarski (nawiazuje do słynnego filmu „Rozwód po włosku”). Nie idzie tu przecież w żadnym razie o typowe sprawy włoskiego małżeń- stwa. Film jest jeszcze jedną próbą okazania szlachetnej prostytutki, która wprawdzie wykonuje swój „za- wód”, ale jest także jednocześnie ko- chać matką swoich dzieci. Próba oczywiście nieprzekonująca albo- wiem skądinąd wiadomo, że prosty- tutki najczęściej swoje dzieci porzu- cają. Ale też trzeba przyznać, że twórcy filmu nie wymagają od wi- dza, by wyciągał wnioski ogólne, chcą jedynie wurszować go losem tej jednej prostytutki — Filumeny. I to im się udaje całkowicie.

O ile sceptycznie można się od-

Mieczysław Skąpski

Nowa kreacja Sophii Loren

nieść do wyjaśnienia Filumeny co do początków jej „zawodu” (trudne dzieciństwo, nieda w domu, uwie- dzenie w młodym wieku przez star- szego sąsiada), o tyle dalsze jej losy przekonująco pokazują zażartą jej walkę o stabilizację życiową, o mał- żeństwo, o wychowanie dzieci i da- nie im nazwiska męża. Realizacji tych celów życiowych Filumena po- święca wszystko, nie zaniedbuje żad- nej okazji aby sprawy popchnąć na- przód, nie waha się także stosować ciosów poniżej pasa, metod oszustwa i zdrady. Prawda, że metody te go- dza w człowieka, który ją sama przez dwadzieścia lat oszukiwał, zwodził i zdradzał — przewykliw- jednak nazwać oszustwo oszu- stwem bez względu na okoliczności. Toteż trudno oceniać Filumene ina- czej niż jako postać dość szmatła- wa, mimo że i tak prezentuje się ona korzystnie na tle jej wielolet- niego opiekuna i kochanka Domeni- ca, który jest już postacią wręcz od- rażającą. Cały film jest w końcu wła- ściwie historia życia parv ludzi gdzieś z pogranicza półświatka, su- tenerstwa i hochsztaplerstwa, któ- rzy nienawidzą się głęboko i gardzą

Eugeniusz Paukszta

Przekłady

Na pewno wydarzeniem jest opublikowanie przez PIW trzeciej części głośnych pamiętników Simone de Beauvoir „Siła rzeczy”. Upřednio poznaliśmy już „Pamięt- nik statecznej pani” oraz „W si- le wieku”. Trzecia część, wydana w dwóch woluminach, jest może z do- tychczasowych najciekawsza. Simo- ne de Beauvoir równoległe niejako snuje na kartach książki wątek oso- bisty i wątek malujący dzieje fran- cuskiej elity intelektualnej. Istnieje jakaś integralność w tym powiż- naniu, wiadomo wszakże, iż żona Sar- tre’a związana jest jak najsilniej z życiem politycznym współczesnej Francji. Ujmując dodatkowo nuta gło- bokiej, rzadkiej szczerości. Autorka „Mandarynów” zwierza się ze swych wątpliwości, wahań, dzieli się sukce- sami, pisze o sprawach bardzo włas- nych — i tutaj karty poświęcone Sar- tre’owi są może najpiękniejsze. Obok ukazanego uczucia jawi się świetny psycholog. Takiego portretu Sartre’a jeszcześmy nie mieli. Świetne są też zwierzenia dotyczące twórczości. Je- dno z tych zwierzeń pragnę przyto- czyć: „Ale gdybym nie pisała, mia- łabym poczucie, że istnienie moje pozbawione jest wszelkiej racji. Twó- rzyć jest przygodą, młodością i wol- nością”.

Obdarzona nas obecnie aż dwiema pozycjami z tak rzadko tłumaczonej literatury flamandzkiej, na domiar- obie książki reprezentują dużą kla-

sę pisarską i problemową. Spod pió- ra Felixa Timmermansa wyszła praca „Adrian Brouwer”. Timmermans, kla- syk flamandzki, pogranicza XIX i XX wieku, w powieści biograficznej za- jął się życiem wspaniałego malarza, słynnego zwłaszcza z pejzaży i ro- dzajowych scen ludowych, Brouwera (1605—1638). Wzór to, jak zachowu- jąc pełną wierność faktom i doku- mentom, należy pisać powieść bio- graficzną. A przecież rzucana na tło wojny niderlandzko-hispańskiej syl- wetka Brouwera ukazana jest tak barwnie, tak bardzo żywo, z takim wreszcie sercem, że w czytelniku ni- knie bez reszty odczucie, jakoby au- tor utworu ulegał jakimkolwiek fak- tologicznym ograniczeniom.

Drugą pozycją flamandzką jest „Pożegnanie” Ivo Michielsa. To zno- wuż utwór bardzo współczesny, mie- scami pogmatwany, ale bardzo po- etyczny, nastrojowy, nie pozbawiony przy tym ostrych spieć. Motywem przewodnim powieści jest walka człowieka o wyzwolenie się spod na- poru przeszłości, tej wojennej, wciąż rzutującej na dzień dzisiejszy. Czło- wiek czuje się sam, zagubiony, zbłą- kany. I dopiero solidarność, miłość, poczucie wspólnoty z innymi przyno- szą i jedynie mogą przynieść wy- bawienie.

Interesującym wskazaniem na ten- dencje we współczesnej włoskiej li- teraturze jest powieść Scyllijczyka, Leonardo Sciascia „Dzień puszczy- ka”. Krajobraz scyllijski, i ten geo- graficzny, i zwłaszcza ten ludzki, przemawiają z kart z pełną ostro- cią. Oczywiście, mafia, morderstwo przez nią popełnione, śledztwo, nie- omal że kryminalny motyw, nasycy- ny ostrymi spieczkami, spiętrzeniem scen o silnym wyrazie dramatycz- nym — a wszakże równoległe to po- wieść bardzo głęboka i bardzo ludz- ka, to jakaś próba wyrwania swego kraju z oparów, jakie działalność mafii rozciągała nad scyllijskim spo- łeczeństwem.

Literaturę angielską prezentuje ciekawie pomyślany i skomponowa- ny wybór współczesnej nowelistyki brytyjskiej, „Życie innych ludzi”, obej- muje szesnaście opowiadań wysz- lych spod pióra trzech generacji pi- sarskich, od autorów szeroko u nas znanych, jak Graham Greene czy Evelyn Waugh po nazwiska pre- zentowane polskiemu czytelnikowi po raz pierwszy. Wyboru dokonał Henryk Krzeczowski, opatrząc go dodatkowo wstępem. Wydaje się, iż ta miniantologia spełnia swoje pre- zentacyjne zadanie.

Na zakończenie dodam, że ukaza- ło się nowe wydanie głośnej powie- ci historycznej Liona Feuchtwangera „Lisy w winnicy”.

Z KSIĄŻKĄ NA TY



Miejsce Polski w świecie

Z okazji Święta 22 Lipca tygodnik dużo miejsca poświęcając komentarzom na temat miejsca Polski w świecie. Jej perspektyw gospodarczych, kulturalnych, politycznych oraz artykułom i reportażom zwią- zany tematycznie ze Świętem Odrodzenia. „Życie Literackie” w felietonie pióra W. M. pt. „Jaka ta Polska będzie...” pisze: „...przechodzimy do narodu jednolitego, nie wokół rozbudowy socjalizmu. Tylko taki cel może cementować nasze odczucia. Utwierdza się prze- konanie że im ściślejśza jedność typu socjalistycz- nego w walce o ideały socjalistyczne, tym potęż- niejsza niepodległość narodu i państwa. A rozbudowywać socjalizm... znaczy umacniać i roz- szerzać poczucie społeczne, kolektywne, a zwalczać poczucie egoistyczne, wulgarne materialistyczne. Rozbijanie poczucia egoistycznego to jednocześnie

udaremnianie prób tworzenia w społeczeństwie grup uprzywilejowanych.”

Ten sam tygodnik zamieszcza artykuł Jana Pawła Gawlika pt. „Przygoda i przyszłość” w całości poświęcony awansowi Olsztyna. Po- wstaje tam największa w Polsce fabryka opo- non samochodowych. Z artykułu dowiaduje- my się, że co roku brakuje nam 780 000 opon, że wskutek tego każdy rok zwłoki w rady- kalnym rozwiązaniu tego problemu kosztuje nas około 20 000 000 dolarów. że w tej sytu- acji decyzja budowy odpowiedniej fabryki, po kryjącej się dalsze i późniejsze zapotrzebo- wanie, była niezbędna. Olsztyńskie Zakłady Opon Samochodowych produkować będą ozu- mienie dla warszaw, fłatów, starów, ursusów i wszelkich samochodów dostawczych.

„Już w pierwszym etapie Olsztyńskie Zakłady zużywać będą więcej energii elektrycznej w jed- nostce czasu niż całe miasto z swoim dotychcza- sowym przemysłem i więcej wody niż wylą i żyłt kowuje na co dzień stolica województwa. Jednakże nie parametry techniczne zadecydują o miejscu Olsztyna w hierarchii przemysłowej kraju lecz wa- rtość produkcji. Wyniesie ona około 4 000 000 zł rocznie, podnosząc olsztyńską wytwórnię do rzędu potentatów klasy Oświęcimia czy Kedzierzyna. (...) Dla miasta: los na loterii. Bo chociaż znikoma część czteromiliardowego produktu (i odpowiednio- go dochodu) skapnie na plany i potrzeby samego Olsztyna, to przecież wysoko wyszczególniana, a więc i żądna, i inteligentna zalona olbrzymia na rzuci miastu — w pewnej mierze — swój ton, swoje kryteria, swoje potrzeby.”

Miejsce Polski w świecie poświęcony jest artykuł Jana Gajewskiego pt. „Trud- na droga do przyjaźni” opublikowany w „Kul- turze”. Autor pisze o przyjaźni polsko-ra- dzieckiej, która ma dla nas niezaprzeczalne znaczenie nie tylko zewnętrzne ale i wewnę-

trzne — dla przeobrażeń i dokonani w kraju. Przyjaźń ta w szerokich kręgach społecz- stwa znajduje obecnie nie tylko uzasadnienie jako nasza najwyższa racja stanu, lecz rów- nież znajduje aprobatę jako sojusznik w imię wspólnej idei, wspólnego celu, wspólnego czy- nu.

Podobny temat porusza na łamach „Współczesności” prof. dr Marian Ży- chowski w artykule pt. „Lenin, Rewo- lucja, Polska Ludowa”. Autor pisząc o 22 Lip- ca nazywa ten dzień symbolem podwójnego zwycięstwa narodu polskiego: zwycięstwa Polski nad okupantem hitlerowskim oraz zwycię- stwa demokracji polskiej nad rodzinnymi, wstępnymi siłami, które były w 1939 r. przy- czyną naszej zguby narodowej. Przełomowym momentem w drodze do tego zwycięstwa był rok 1942, kiedy powstała Polska Partia Ro- botnicza. Ona to położyła hasła narodowe z hasłami wyzwolenia społecznego i integralnej przyjaźni sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Autor porusza też rolę znaczenia idei Leni- na dla uzyskania niepodległości Polski w 1918 r. Wymienia szereg dokumentów, w któ- rych Lenin wypowiadał się na temat niepo- dległości Polski, m. in. „Deklaracje Praw Na- rodów Rosji” opublikowane 3 (16) listopada 1917 r. w której potępiona została zabórca polityka caratu, dekret „O opiece nad zabytkami przeszłości i sztuki należącymi do narodu polskiego” ze stycznia 1918 r., anulowanie wszystkich traktatów rozbiorowych itd.

„Akty te — pisze M. Żychowski — posiadały ka- pitałny wpływ na ustosunkowanie się całej Europy do sprawy niepodległości Polski, torując drogę do

powstania w listopadzie 1918 r. niepodległej Pol- ski. Sprawdzali się słowa głoszone przez Lenina: „Wolność Polski jest niemożliwa bez wolności Ro- sji. Wolność dla Polski przychodziła nie z Zachó- du lecz ze Wschodu.”

O perspektywach rozwoju naszego kra- ju — pisze w „Tygodniku Demokra- tycznym” Zygmunt Szeliga w artyku- le „Drugie dwudziestolecie”, w którym sy- gnałizuje kilka problemów obecnego dwudzie- stolecia, koncentrując uwagę na docelowym roku 1985,

„Minione dwudziestolecie wprowadziło Polskę na szlak socjalistycznego rozwoju gospodarczego i spo- łecznego. Oznacza to po pierwsze społeczny cha- rakter własności podstawowych środków produk- cji; po drugie sprawiedliwy system podziału do- chodu narodowego z wyeliminowaniem klas i warstw eksploatacyjnych; po trzecie wreszcie — bardzo wysoka dynamika rozwoju i przemian ekono- miczno-społecznych — pod tym względem Polska znajduje się (...) w czołówce krajów świata.”

Zdaniem autora w 1985 roku będzie nas 38,5 miliona, co również okiełna za sobą określone konsekwencje i określone potrze- by społeczne. Można się spodziewać także du- żego rozwoju usług typu oświatowego, kultu- ralnego, rozrywkowego itd. oraz eksplozji tu- rystyki, czego początki możemy obserwować już obecnie.

„Kontynuując generalne linie rozwojowe — stwierdza Z. Szeliga — zapoczątkowane w pier- wszym dwudziestolecu — nowy okres przyniesie za- razem istotne i ważne zmiany w całym układzie gospodarczo-społecznym kraju. Myśląc o własnej przyszłości — musimy z tych zmian zdawać sobie dokładnie sprawę.”

LEKTOR